Nr. 23 (1171). Warszawa, dnia 24 Maja (6 Czerwca) 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szanow. Abonentom półrocznym i kwartalnym przypominamy zbliżający się termin przedpłaty.

POLITYKA.

ZNOWU „IRREDENTA.“

Szczęśliwa ta Austrya! Ma Wszechniemców w walce z Czechami i innymi Słowianami, ma Rusinów wrogo usposobionych dla Polaków, ma Węgrów usiłujących się od niej oderwać, ma Słowian ucierających się z Niemcami nieciążącymi już do Berlina, ma wreszcie i Włochów, którzy w gniewie i tęsknocie wyciągają ramiona do wspólnej ojczyzny, uosobionej w Roma Capitale. Ruch od kilku lat przycichły, przed kilkunastu łaty bardzo silny, teraz na nowo się ożywia, a chociaż pierwsza podnieta z Insbrucku, jako reakcya przeciw bucie studentów niemieckich, mogła się wydać wystarczającą do wywołania demonstracyi w ziemiach włoskich berła habsburskiego, to jednak przedostanie się manifestacyi na klasyczny półwysep, przejawy niezastosowane do rozmiarów idei odwetowej naprowadzić powinny na myśl, że nowy wybuch irredentyzmu w samych Włoszech nie jest już żywiołowym, naturalnym, ale powstaje jako robota rąk ludzkich, potrzebna politykom pozagabinetowym, a z pewnością niezupełnie niemiła i gabinetowym. Demonstracye w samym Rzymie musiały już wytrącić p. Gołuchowskiego z dyplomatycznej równowagi; nota półurzędowa agencyi telegraficznej, rzymskiej musi być skutkiem uwag ustnych hr. Pesetti de Friedenburg, a usposobienie Rzymu nie wróży nic dobrego, skoro dla bezpieczeństwa poselstwa i konsulatu odkomenderowano umyślnie dwa bataliony.

Każde takie drgnienie patryotyzmu włoskiego w granicach Austryi, znajdujące oddźwięk i zarazem hasło do nowych wybuchów już na ziemi włoskiej, stanowi dla Austryi jakby *memento mori* — przypomnienie, że ją kiedyś postarają się rozebrać nietylko od północy i wschodu, ale i od południa, i to z lepszem niż na tamtych widowniach prawem, a z łatwiejszem o wiele powodzeniem. Z tem wezwaniem „gotuj się na śmierć“ — łączy się i głos wlewający w elementarny nawet rozsądek stanu to przeświadczenie kapitalne, że przymierze potrójne jest niem tylko dla Niemiec, że Włochy i Austrya trzymają się Berlina, tylko ulegając wyższej jego sile: Włochy z interesu, aby coś zarobić, Austrya z konieczności, aby nie być już zupełnie odosobnioną i na łup sąsiadów wydaną. Z Niemcami zespala Austryę raczej zależność niewolnika, niż wolny wybór samoistnej potęgi; od Włochów odpycha ją z mocą samej natury silny, niezmożony, niepowstrzymany prąd patryotyzmu włoskiego w poddanych cesarza, a obywatelach państwa przedlitawskiego, wyłamujących się z poddaństwa a gardzących obywatelstwem. Systemat trójprzymierza, ułożony przeciwko Francyi w interesie Niemiec, trzymając Austryę na uwięzi przeciwko Rosyi, jednocześnie usiłuje powściągnąć i zobojętnić wrodzoną nieprzyjaźń, która musi rozdzielać Austryę i Włochy.

Nowe wybuchy irredentyzmu włoskiego nasuwają przed umysł nieraz tu już wypowiedziany pogląd, że w trójprzymierzu są właściwie dwa przymierza: jedno Niemiec z Austryą na wypadek ujęcia się Rosyi za Francyą lub jej prawami do granicy Renu, drugie — Włochów z Niemcami na wypadek zneutralizowania w jakikolwiek sposób zamysłów i zapędów francuskich, a przytem dogodnej sposobności do wspólnego rzucenia się na Austryę. Rzeczywiście trójprzymierze jest tylko postrachem, i to więcej na Austryę, niż na Francyę. W razie wojny Niemiec z Rosyą, sama budowa państwa austro-węgierskiego z ludów, wśród których znajdują się bądź słowiańskie, bądź rumuńskie, bądź włoskie, a przytem nieunikniona walka o prymat między Węgrami a Niemcami w chwili wielkiego niebezpieczeństwa usuwa możliwość czynnej od Austryi pomocy; przestrzeganie i zarazem bronienie swej neutralności będzie najrozumniejszym, najpraktyczniejszym celem jej polityki sprzymierzeńczej; wszelkie wystąpienie wojenne musiałoby sprowadzić szybki pokój dla wspólnego rzucenia się na monarchię habsburską, a do współki wtedy przystąpiłyby i Włochy, które może już dziś na mocy tajemnego układu zapewniły sobie wznowienie stosunku z r. 1866. Z neutralnej postawa Austro-Węgier stałaby się czynną tylko wtedy, gdyby Niemcom udało się w przyszłej wojnie z Francyą skorzystać z zupełnego jej odosobnienia, jak w r. 1870.

Polityk kałamarzowy, rozsądnie myślący, nigdy inaczej przymierza potrójnego i przyszłej roli w niem pojedynczych wspólników nawzajem przeciwko sobie i przeciwko innym, pojmować nie mógł i nie pojmował; nie inaczej go też pewno rozumieją i politycy, mogący już rozlewać coś więcej prócz atramentu, a biada Austryi, jeśli jej mężowie stanu nie widzą tych prawdopodobieństw, które dziś już myśli teoretycznej dają punkta wytyczne. Z możliwością rzucenia się kiedyś Włoch z pomo-

cą Niemiec czynną czy bierną, polityczno-wojenną czy tylko dyplomatyczną— każdy polityk austryacki zawczasu oswoić się powinien, a każdy taki wybuch patryotyzmu włoskiego, na jaki obecnie patrzymy, jest dla łatwo zapominających dobroczynnem przypomnieniem i niebezpieczeństwa groźnego i twardego obowiązku. Wykupienie się od grozy dobrowolnemi ustępstwami nie leży zazwyczaj w psychologii istot mających wolę i siłę życia. Etyczne błędy w zabieraniu ziem cudzych naprawia się tylko nowymi błędami w bronieniu zaborów siłą. Tak zawsze było i tak zawsze będzie w dziejach. Tryest i Littorale są zbyt ważne dla Austryi, aby je mogła utracić inaczej, niż w nieszczęśliwej wojnie. Niechże pamięta, że tę wojnę stoczyć będzie musiała z obu dzisiejszymi swoimi sprzymierzeńcami, aby po niej stoczyć nową, do której jeden z nich, jeszcze nienasycony, zwiąże się z domniemanym w przymierzu z d. 15 października 1879 r. nieprzyjacielem. Gdyby istniało wielkie przymierze zachodnie, Austrya mogłaby znaleźć dla siebie oparcie pewne; w braku takiego przymierza wydana jest na pastwę losów z zewnątrz. A jej wnętrze? — Opłakane.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Turcya zapewnia, że reformy umówione z Rosyą i Austryą wprowadzi zaraz „po ustaniu nadzwyczajnych okoliczności,“ które uwzględniać muszą oba te mocarstwa, o nacisku ich bowiem na Portę nic nie słychać. Liczba aresztowanych w czterech wilajetach przenosi 3,000; listy podejrzanych dają dowódcom gotową metodę postępowania przy wkraczaniu do jakiejś miejscowości. Sami Turcy przyznają, że w wilajecie Monastyrskim, gdzie mają nad sobą kontrolę konsulów i licznych agentów, postępowano nieraz zbyt surowo a bez potrzeby. Opór Albańczyków słabnie. Wygasa też i powstanie. Usiłowanie rządu bulgarskiego, aby wywołać interwencyę dyplomatyczną, spełzło na niczem. *Nowoje Wremia* widzi już całą zawieruchę w stadyum uspokojenia.

Rząd bulgarski wysłał Naczowicza do Konstantynopola dla wyjednania ustępstw dla Bulgarów w Macedonii. Studenci bulgarscy wydali manifest do Europy z powodu „okrucieństw tureckich w Macedonii.“

We Francyi nacyonaliści wyprawili nowe sceny w Izbie: oskarżyli przez *Figaro* ministra marynarki, Pelletana, o wzięcie kilka lat temu łapówki 25,000 fr. za zatwierdzenie wyboru Humberta przez komisyę Izby, a syna Combes'a o przekupstwo za pozwolenie jakiemuś klubowi na grę w bakarata. Izba d. 28 z. m. uchwaliła 333 gł. prz. 18 potępienie podjazdów i *votum* zaufania dla rządu. Monarchiści i wsteczniey uchylili się od głosowania. Rozczulająca bezstronność i etyka wzorowa.

Słynny podoficer marynarki, Heussener, za zabicie w Essen żołnierza Hartmana, skazany został na 4 lata więzienia. Pierwotnie istotę czynu określono jako zabójstwo, później prokurator na rozkaz rządu wstawił w akt oskarżenie nadużycie władzy wraz z zadaniem ran, których skutkiem była śmierć.

Oba komitety wyborcze na Prusy i na Poznańskie ogłosiły już nazwiska kandydatów: pierwszy 15, drugi 16; w Prusiech w połowie okręgów głosowanie będzie tylko policzeniem się. Wogóle nowi kandydaci są lepsi od swych poprzedników. Dopuszczono do rady — nareszcie — rozum i sumienie publiczne.

Ks. Hatzfeld v. Trachenberg, nadprezydent Górnego Śląska, dostaje dymisyę za brak żarliwości w tamowaniu „agitacyi polskiej.“

Chamberlain d. 28 z. m. miał znowu kazanie o cłach ochronnych i koloniach. Tym razem sam już przyznał, że „pali za sobą mosty.“ Teoretycznie przesilenie w gabinecie już niedalekie, jakkolwiek prezes Balfour zaręcza, że pomiędzy nim a Chamberlainem niema różnicy w poglądzie na cła; praktycznie jednak nowe wybory do Izby (podobno w sierpniu) czynią zmiany ministeryalne zbytecznemi.

Körber nie przyjął od posłów chorwackich przedlitawskich podania, o którem w artykule wstępnym w zeszłym tygodniu; nawzajem posłowie odrzucili jego zaproszenie na wspólną naradę. W umyślnym akcie wytłomaczyli się przed cesarzem ze swych zamiarów: nie chcieli wtrącać się do spraw węgierskich, zawołali tylko o ludzkość dla cierpiących. Inny manifest, przeznaczony dla Europy, wylicza krzywdy Chorwatów i jako głównego ich sprawcę wskazuje bana. Wzburzenie w Chorwacyi nie ustaje. Pod Zagrzebiem lud wiejski zniszczył zamek Erdoedego. Pobratymcy w Lublanie, Raguzie, Spalato ujmują się tłumnie za ofiarami madyaryzmu. Ze Lwowa wyszedł też objaw żywego zbiorowego współczucia; moralnej wartości jego ocenić niepodobna, nie znając czynników działania.

W Medyolanie spalono publicznie chorągiew austryacką przed pomnikiem Garibaldiego. Jest to odpowiedź na prześladowania, jakich doznają od początku r. b. studenci włoscy na uniwersytecie w Insbruku od swoich kolegów Wszechniemców. Były manifestacye i w Rzymie i w Bari; konsulat w Rzymie obsadzony przez wojsko. W Tryeście również wyciąganie rąk do ojczyzny włoskiej. W teatrze Politeama d. 26 z. m. publiczność wybuchnęła patryotyzmem. Na ulicach wrzało do rana. W rządzie austryackim rózdrażnienie, lekkie zapytania dyplomatyczne.

Węgierscy nieprzejednani nawpół z dawnymi narodowcami Apponyi'ego domagają się albo komendy węgierskiej, albo artyleryi dla honwedów wzamian za podwyższenie stopy rocznej poboru; w każdym razie służba dwuletnia w armii wspólnej stanowi *conditio sine qua non*. Rząd ma otrzymać zwłokę do jesieni.

Anglicy wkraczają do Tybetu — dla sprostowania granic. D. 28 z. m. Cranborne zawiadomił Izbę gmin o traktacie z Rosyę, poręczającym całość i nietykalność Persyi.

W Rumunii wybory wprowadziły do ciała prawodawczego 524 liberalnych i tylko 15 zachowawców.

Peru, Chili i Boliwia zawarły pokój, podpisany w La Paz. Rzeczpospolita chilijska zatrzymała na własność dwie prowincye boliwijskie, zagarnięte jeszcze w latach 1883—4, za opłatą 20 mil. piastrów; wzamian nadała Boliwii przywileje handlowe.

W stanie Washington uwięziono jakiegoś anarchistę, Szwajcara, podejrzanego o zamiar zamordowania Roosevelta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Bobrzyński redivivus.

Fama głosi, że p. Bobrzyński jest ukrytym kandydatem stańczykowskim na urząd marszałka krajowego *). Mając swego namiestnika (A. Po-

*) Sądząc z ostatnich wiadomości, ta nadzieja stańczyków nie zostanie spełniona, co jednak nie prze-

9)

Wacław Sieroszewski.

POWRÓT,

POWIEŚĆ.

Rozmowy milkły na chwilę na dziobie statku i słychać było jedynie, jak na łodzi kupcy kłócili się, grając w karty, lub jak Guran uspakajał panią Annę:

— Zupełnie głupio pani rozumuje. Wcale tak nie bywa, żeby się w prostych smugach na płaskoci półka urwała. I nic to wielkiego. Szkuta przybija jeno do brzegu i... stop!.. Ot, kiedy przyjdziemy do „skał,“ do „bylin,“ które obchodzić trzeba na bosaka, tam zdarza się... że istotnie sznur się przetrze albo hak zemknie... Ale w takiem równem miejscu zawczasu się bojać — to na nic!... To od tego zdrowia nie przybędzie!..

Karski, zasłyszawszy zdala podobne ojcowskie strofowanie, spieszył czemprędzej z dzioba, gdzie słuchał opowiadań Spirydiona lub z dachu budy, gdzie oparty o maszt, czytał książkę — i dyplomatycznie sprowadzał rozmowę na inny przedmiot.

Pogoda sprzyjała. Szli dzień i noc, gdyż zmrok nie gęstniał jeszcze do tego stopnia w tych szerokościach, aby przeszkadzać podróży.

Wiodły ich w przejrzystą dal wody, blednąc stopniowo, wysokie przylądki, zielone ostrowia, mgliste lasy, jasne łąk smugi, podszyte u wody żółtymi piachami, odbite w ruchomych kryształach i srebrze szemrzących odmętów. Czasem wietrzyk rzucił świerz na rzekę, niby garść pereł po niej rozsypał, czasem słońce w złotą łuskę ją odziało lub księżyc położył płachtę światła na drgające w biegu, lustrzane jej łono. Ruiny skał spały w ciszy głębokiej na brzegach i szkuta posuwała się wzdłuż nich ostrożnie, krając nurty swą sztabą. Bulkotał wart, trącając o wypukłe buchty statku, ogień żarzył się na dziobie czerwono, białe płótno budy chwiało się jak złożone skrzydła płynącej do gniazda rybitwy, opodal głucho chrzęścił piach i żwir pod nogami oryli. Pani Anna nuciła cichutko, usypiając syna:

Aa, aa! Kotki dwa,
Szare, bure obydwa!
Śpią, śpią, nie płaczą.
Jak się wyśpią, to skaczą!..

Z tyłu odbicia mijanych gór, lasów, wybrzeży tańczyły cudacznie na fali, to kurcząc się poczwarnie, to wydłużając, jak nitki, niby z wielkiej uciechy, że marne a niespokojne ludzkie istoty opuściły je nareszcie.

A na przodzie statku Spirydion, mieszając w kotłach, opowiadał przyciszonym głosem nowemu, znęconemu kąskiem słuchaczowi...

„Kochała mię, tak mię kochała... Żegnaj, duszo! Uwielbiam cię, ale muszę cię już porzucić. — Kochanku mój najmilszy... nie przeżyję rozłączenia... — Godna osobo, każdemu przeznaczony los do spełnienia...“ Ty spisz, widzę! Cóż to znaczy?

— Wcale nie... tak się tylko pochyliłem. Śla starła mi lewe ramię, więc muszę się na prawem opierać...— bronił się słuchacz.

Karskiego dziwiło niezmiernie, że nie widywał prawie wcale Koźmy. Damian we dnie grał z kupcami, a w nocy spał, lecz co robił jego wspólnik, to długo pozostawało dla Karskiego zagadką.

W ten sposób dotarli do Olokmińska. Spostrzegłszy zdala miasto, bielejące w zorzy poranku, przeprawili się przez rzekę i zawinęli do przystani. Wypoczywać mieli dzień cały. Damian zakupywał po sklepach nowe zapasy żywności. Koźma wypełzł z pod pokładu i umieścił się na dachu statku. Kupcy ubrali się w odświętne kaftany i poszli do znajomych. Oryle pili w szynkach. Karski zabrał żonę i udał się na po-

tockiego) i marszałka, klika krakowska rządzić będzie niepodzielnie i uwolni się nareszcie od grożącej zmory przyjścia do władzy człowieka, któryby mógł mieć jakieś oryginalne pomysły, lub broń Boże myślał o poprawie stosunków. Gdyż rządy stańczykowskie nie są reakcyą we właściwem tego słowa znaczeniu, lecz konserwatyzmem; są oni zanadto sprytni, by narzucać krajowi zbyt wyraźne i daleko idące zmiany w duchu szlachecko-obszarniczym, ale oprą się wszelkiemi siłami reformom, zachowają wszystko in statu quo i powoli znieprawią myśl polityczną całego społeczeństwa, odzwyczajając je od zajmowania się wogóle polityką.

Czy wieści o kandydaturze p. Bobrzyńskiego są słuszne czy nie, w każdym razie nie ulega wątpliwości, że pragnie on przypomnieć się społeczeństwu galicyjskiemu, które głośnym okrzykiem radości powitało jego ustąpienie z posady kierownika szkolnictwa krajowego (wiceprezydenta Rady szkolnej krajowej) przed dwoma laty, i w tym celu wydał książeczkę, zatytułowaną *Statut Rady szkolnej krajowej galicyjskiej*, studyum prawno polityczne, przez *Michała Bobrzyńskiego*. Warto skorzystać z tej sposobności i przyjrzeć się zarówno wspaniałym wynikom działalności p. Bobrzyńskiego, jak wogóle wartości Rady szkolnej, tego „polskiego ministeryum oświaty“, jak ją nazywają różni świadomi i mimowolni fałszerze opinii publicznej w Galicyi.

Gdy 25 czerwca 1867 r. reskryptem cesarskim powołana została do życia Rada szkolna, radość w kraju nie miała granic. Wtedy jeszcze nie było u nas nikogo, ktoby się ośmielił powątpiewać o potrzebie oświaty, przypominano sobie świetne czasy okręgu wileńskiego za Cesarza Aleksandra I i marzono o czemś podobnem w Galicyi. Rzeczywistość bardzo prędko rozwiała te sny złote. Rada szkolna nietylko nie posuwała sprawy oświaty naprzód, lecz przyszło nawet między nią a sejmem do bardzo przykrych starć. Nie tracono jednak otuchy. Radzie szkolnej brakło kierownika, gdyż namiestnik, który z urzędu jej przewodniczył, zajęty był zwykle zupełnie czem innem. Kraj domagał się stałego kierownika i uzyskał go w 1890 r. w osobie p. Bobrzyńskiego. Wtedy nadzieje odżyły.

Kto pamięta, z jakim zapałem przyjęto u nas pierwsze wydanie podręcznika historyi Bobrzyńskiego, ten rozumie radość z powodu poruczenia temu człowiekowi sprawy oświaty publicznej. Nawet ci, których oburzała książka p. B., cenili w nim męża, zdawało się, wykutego ze spiżu, będącego uosobieniem energii i odwagi. Na ustach wszystkich były jego hasła: „Liche ma o narodzie i jego żywotności wyobrażenie, kto mniema, iż ten naród gorzkiej prawdy nie zniesie“, albo „Pozostając Polakiem, nie potrzeba w myśli swojej i dążeniach się cofać, można iść równym krokiem z najnowszym rozwojem ludzkości“—a mało kto nie podzielał słów Szujskiego, że B. jest człowiekiem, „który wierzy w to, co pisze“. Przypomniano sobie, że B. bronił zawsze tych, którzy dążą do władzy, jako najlepszego środka przysłużenia się krajowi.

A teraz parę cyfr, które uwolnią nas od szerokiego rozwodzenia się nad ciemnemi stronami działalności p. B. W roku 1900, tj. po ustąpieniu p. B. ze stanowiska wice prezydenta Rady szkolnej, w Galicyi na 5.921 gmin nie było wcale szkół w 2,382, co stanowi 40% ludności skazanej z urzędu na analfabetyzm. Ale i w tych wsiach, które posiadają szkoły, liczono tylko 670,105 dzieci pobierających naukę, a 253,410 takich, które z niej nie korzystały. Między r. 1890 a 1900 powiększała się liczba szkół o 46 na rok, ale jednocześnie wzrosła ilość nieczynnych (z braku nauczyciela lub budynku) o 6, co zmniejsza prawdziwy przyrost roczny do 40; gdyby zatem dalej poszło w tem samem tempie, to możemy mieć nadzieję, że nie wcześniej jak za 60 lat, czyli za dwa pokolenia, znikną w Galicyi gminy pozbawione szkoły. Z tego jednak nie można wnosić, by mieli zniknąć analfabeci. Stosunek ich do reszty ludności zmniejsza się co prawda (w r. 1880—77%, w 90—68%, w 900—56%), ale bardzo powoli; w rzeczywistości powiększenie ilości szkół odpowiada tylko przyrostowi dzieci w wieku szkolnym (z r. 1899/900 na 1900/901 frekwencya podniosła się o 24,590, przyrost zaś wyniósł 24,930 dzieci). Jakże daleko od tych cyfr do programu Zyblikiewicza, który w 1883 r. chciał zaprowadzenia w każdej wiosce galicyjskiej szkoły w ciągu 10 lat.

Jeżeli od ilości przejdziemy do jakości, to jeszcze smutniejszy ujrzymy obraz. Nauczyciel jest dobry, gdy kocha swój zawód i jest dostatecznie wynagradzany. Ani jednego, ani drugiego niema w biurokratycznie rządzonem i skąpo opłacanem szkolnictwie galicyjskiem. Nic zatem dziwnego, że wychowańcy seminaryów nauczycielskich uciekają do straży skarbowej, żandarmeryi, kolei, byle nie dostać się do szkoły. W ciągu 10-letniej „ery Bobrzyńskiego“ wzrastała ilość nauczycieli przeciętnie o 28 na rok, gdy ilość nauczycielek (gorzej płatnych i potulniejszych, więc pożądanych dla p. B.) kwalifikowanych o 166, niekwalifikowanych o 69. To samo widzimy w gimnazyach, które nie mogą pochłonąć olbrzymiego napływu dzieci i w braku nowych zakładów ratują się klasami równoległemi. I tu cyfry zastąpią odsumowanie: gdy ilość nauczycieli gimnazyalnych wzrosła o 41%, to zastępców o 89%, a zastępców nieegzaminowanych—o 100%. Ilość szkół średnich podniosła się o 92%, zaś klas równoległych o 210%! Wskutek tego znajdujemy w Galicyi takie zjawiska, jak 4 gimnazya, mające przeszło 900 uczniów.

Dosyć tych cyfr. Przyjrzyjmy się przyczynom smutnych wyników działalności Rady szkolnej i p. B. Dadzą się one streścić w następujący sposób: Rada szkolna *nie może* dużo zrobić, a gdyby mogła, to *nie chce*. Przedewszystkiem nie należy sądzić, że Rada szkolna jest czemś w rodzaju autonomicznego ministeryum oświaty. Taki zakres nadawały jej co prawda uchwały sejmowe z r. 1866—67 i kilku następnych, ale uchwały te rozbiły się o opór rządu i parlamentu, a z czasem i sejm galicyjski pogodził się z tym stanem rzeczy. Dzisiejsza Rada szkolna jest kółkiem w ministeryum oświaty, zależnem pod każdym względem od samego ministra. Ma ona zajmować się szkołami ludowemi, średniemi, handlowemi i przemysłowemi, oraz seminaryami nauczycielskiemi, ale nie wolno jej mianować w szkołach średnich nauczycieli oraz dyrektorów (prawo to zostało jej odebrane w r. 1871), nie wolno układać planów nauk, co do których ma tylko bardzo ograniczone prawo stawiania wniosków, nie od niej też zależą ustawy szkolne. Jedyna rzecz, jaką jej pozostawiono, to zatwierdzenie podręczników szkolnych. Ile te podręczniki są warte, o tem może kiedyś pomówimy.

szkodzi zapewne wyniesieniu p. Bobrzyńskiego na innem stanowisku: należy on bowiem do tych ludzi, którzy nieustannie prą się w górę. (*Przyp. Red.*).

---

szukiwanie towarzyszów. Przechodnie wskazali im mały domek, gdzie widocznie spano jeszcze, gdyż okiennice były zawarte. Gdy powiedzieli mieszkańcom domku, kim są, ci, choć widzieli ich po raz pierwszy, otwarli czemprędzej drzwi i porwali w objęcia. Przejezdni byli dla nich osobami szczególnemi, nosicielami nadziei i gloryi zwycięztwa. Kobiet nie było w kolonii i pani Anna nie miała komu powierzyć swych trosk. Zato Karski nagadał się i nasłuchał sowicie. Wieczorem, odprowadzany przez towarzyszów do łodzi, jeszcze powtarzał, jakby chciał sam siebie przekonać:

— Grunt nie w formach, lecz w ludziach! Ich potrzeby, namiętności, przyzwyczajenia, instynkty stanowią treść społeczeństw i historyi... Ich należy zmienić, a formy przyjdą same...

— Ach, jakby to było dobrze, gdyby było inaczej! — westchnął jeden ze słuchaczów.

— Wcale nie! — odrzekł drugi.

— Dajcie pokój!.. Przecieżeście już o tem mówili!..— wstrzymywała ich pani Anna.— Ot i nasz statek!

Na wierzchu budy siedział u masztu Koźma i patrzał w stronę miasta.

— A gdzie ludzie?

Koźma ręce rozpaczliwie rozłożył.

— Grzechy!.. Ale niech pan nie odchodzi, gdyż mogą przyjść lada chwila...

Znów rozegrała się ta sama, co w Jakucku scena, i jedynie dzięki energii policyi szkuta ruszyła dalej, holowana przez, zmniejszoną o dwóch ludzi, partyę orylów. Indora śmiertelnie pijanego kozacy gwałtem wrzucili do łodzi.

— Ten nie został!.. Tego skarbu nikt nie bierze!.. A czełdony, z cichapękі!.. Wywiozłem ich, u piersi swej ogrzałem żmijaków... Jedli, pili, spali jak króle... Roboty mieli mało. Cieszyłem się, że będę z nich miał pociechę, a oni opuścili mię właśnie teraz w potrzebie, jak ladacznicę... Kupiec się taki znalazł, co ich najął znowu do Jakucka... Zacny człowiek, niema co, innym hołowników odmawia!.. A jeżelibym ja naprzykład tak z nim postąpił, pomstowałby pewnie... Łatwe są u nas prawa, oj łatwe!.. Łatwe i słabe! — wygadywał na swych ludzi Damian.

— Och, grzechy! — wzdychał Koźma.— Źle się stało! Chłopy były posłuszne i przydaliby się osobliwie teraz, kiedy to zacznie się kraj niespokojny, warty, „skoły,“ „byki“ i inne przyczyny...

— Ech, byle tylko złych ludzi ominąć!.. Pociągną!.. — pocieszał go Guran.

— A gdzie na tamtą stronę będziemy się przeprawiać?..

— Ludzie mocno są pijani, ale trzeba przeprawić się, bo jutro i reszta zemknie... Pan nam pomoże? — zwrócił się Damian do Karskiego.

— Kupców też trzeba poprosić... — radził Guran.

— Ale! Oni też śpią, w czubach mają! Lepiej ich nie budzić, wrzasku narobią, ze strachu umrą... Ja, Koźma, pan Karski, Achmetka trzeźwy, Wiarus ujdzie — to pięciu. Damy radę. A na tamtym brzegu przenocujemy. Wyśpią się i pójdą!— gadał Damian.

Z wielkim trudem przecięli rzekę, szybko mknącą w blasku księżyca i zatrzymali się pod wysoką górą z ruinami głazów, nawalonych na szczycie i zboczu.

Szkuta znikła bez śladu w ogromnym cieniu opoki, ale sieroca, czerwona gwiazdeczka jej ogniska skrzyła się i migała na atramentowo-czarnem tle bezludnego pobrzeża.

VII.

Deszcz lał od kilku już dni. Szare jego pasma, zmieszane z mgłą, zasnuły okolicę. Niewyraźnie majaczące po za niemi ciemnie gór nadbrzeżnych i chmur w górze zasklepiały się w jeden ciemny korytarz pluchoty, po którego dnie ze zgryźliwym mamrotem mknęła sprana i spieniona rzeka. Znękani i przemokli oryle z trudnością wlekli ociężałą od wilgoci łódź.

Za to zrzucono na Radę szkolną całą masę biurokratycznej pisaniny w sprawie urlopów nauczycielskich, przenoszenia ich z miejsca na miejsce, regulaminów wewnętrznych itp., oraz dano jej takie prerogatywy, które mogą hamować rozwój szkolnictwa. Zezwolenie np. na otwarcie szkół prywatnych zależy od Rady szkolnej, od niej również zamykanie tych szkół, które „pod względem moralnym lub politycznym przyjmują charakter szkodliwy“. Stąd takie zjawiska, jak niedozwolenie otwarcia szkoły dla analfabetów z ramienia Uniwersytetu Ludowego we Lwowie, mieście liczącem 27% analfebetów!

Rada szkolna nie jest wcale odpowiedzialna przed sejmem, pomimo tego, że w jej skład wchodzi trzech urzędników autonomicznych (na 8 mianowanych przez rząd). Nie może ona nawet bronić swych wniosków przed sejmem, a musi przesyłać je do ministeryum, które dopiero poleca (albo nie) namiestnictwu stawienie odpowiednich wniosków. Tylko dzięki temu, że szkoły ludowe utrzymywane są w znacznej części z funduszów, uchwalonych przez sejm, posiada on pewien pośredni wpływ na te zakłady, lecz gimnazya, szkoły realne, seminarya nauczycielskie i część szkół zawodowych zupełnie jest odeń niezależna.

Ale nawet w tym szczupłym zakresie samodzielności, jaką posiadał p. B., nie zdołał on nic stworzyć, zasługującego na uwagę. Przyczyny należy szukać przedewszystkiem w zupełnem ignorowaniu życzeń i dobrych chęci nauczycielstwa i tych ludzi, którym na sercu leżał rozwój szkolnictwa, a zamykanie się w ciasnych ramkach wszechwiedzy biurokratycznej. Wypracowano np. cały szereg regulaminów, ale co one są warte, tego dowodzi jeden przykład, który podniesiony był na zjeździe nauczycieli ludowych w r. 1898. Oto w statucie organizacyjnym dla nauki dopełniającej (§ 7) w szkołach ludowych, powiedziano, że nauka rolnictwa i ogrodnictwa, z zajęciami praktycznemi na polu i w ogrodzie ma się odbywać między 15 października a 15 kwietnia! Cóż dziwnego, że większość tych przepisów pozostaje na papierze!

Przytem, człowiek energiczny i chętny, za jakiego miano p. B., potrafiłby chyba dać sobie radę ze wszystkiemi przeszkodami, stawianemi przez ministeryum, szczególniej mając takiego sojusznika, jak Koło polskie. Szkoda tylko, że ani sojusznik, ani sam działacz nie dbali bynajmniej o rdzeń rzeczy—interesy szkół, a zadawalali się pozorami, mającymi uśpić opinię publiczną. I tu wspomnijmy na chwilę człowieka, z którym porównywano p. B. w początku jego karyery. Gdy Tadeusz Czacki mianowany został wizytatorem szkół gubernij Wołyńskiej, Kijowskiej i Podolskiej, dostał on bardzo ograniczoną instrukcyę, w której jednak *caetera* zostały pozostawione jego *activitati*. Opierając się na tych dwóch słówkach, potrafił on stworzyć z niczego, posiłkując się wyłącznie składkami prywatnemi, oprócz dwóch doskonałych gimnazyów, szkołę weterynaryjną, chirurgiczną, położniczą, seminaryum dla nauczycieli ludowych, konwikt dla panien, sposobiących się na guwernantki, cały szereg szkółek parafialnych, wreszcie kompletny uniwersytet w Krzemieńcu.

Inne czasy, inni ludzie — powiedzą nam. Zapewne, i w tem też leży klucz zagadki, dlaczego szkolnictwo galicyjskie tak mało uczyniło postępu w porównaniu z zamiarami choćby sejmów z 1866 i 1867 roku. Zainteresowanie się sprawami szkolnemi w Galicyi jest bardzo znaczne, każdy zjazd nauczycieli ludowych, ich żądania, ankiety w sprawie reformy szkół średnich odbijają się szerokiem echem w prasie i w społeczeństwie. Ale w łonie tej klasy, która dotąd dzierży w swych rękach ster władzy i rządzi krajem niepodzielnie, zmieniły się od 40 lat radykalnie poglądy na znaczenie oświaty. Dawniej było to *lieu commun*, że oświata, zwłaszcza ludowa, stanowi palącą potrzebę społeczną i wszyscy, bez różnicy poglądów politycznych, byli gotowi przyczynić się do jej podniesienia. Ale zjawił się parlament, sejm, rady gminne. Poczęły się tworzyć partye polityczne. I oto przed zdumionemi oczami szlachty pokazało się nowe, nieznane dawniej zjawisko: ten chłop, którego chciano uszczęśliwić oświatą, począł sam się o nią dopominać, ba, wystąpił nawet z innemi, dalej idącemi żądaniami. Za chłopem wyszedł na scenę lud miejski. I z wzrostem ruchu ludowego słabnie zapał szlachecki dla szkoły; szlachta przypomina sobie nagle, że człowiek niedouczony mniej wart od nieuczonego, zaczynają się utyskiwania na „proletaryat inteligencyi“, nawet środki, zmierzające ku zmniejszeniu liczby uczniów wyższych zakładów naukowych (przynajmniej dla niemiejscowych elementów) nie wywołują protestu.

Uzdrowienie szkolnictwa galicyjskiego nierozerwalnie związane jest ze zmianą stosunków politycznych. Podobno cesarz austryacki miał się wyrazić z okazyi mianowania nowego namiestnika, że *mit den Cavalerien* trzeba raz zerwać. To samo hasło rzucił p. Daszyński przed kilku laty w broszurze „Precz z szlachetczyzną“. Póki ono nie zostanie wykonane, póty Galicya nie będzie miała dobrych szkół.

Aleks.

Z nad Warty i Odry.

Zdyskredytowanie się p. Napieralskiego.— Wyznanie wiary Królika.—W okręgu wschowsko-leszczyńskim.— W Westfalii. — Wiec westfalski w Poznaniu.— Zjazd toruński. — Nowy regulamin wyborczy. — Wzrost ludności polskiej.

Zebrania przedwyborcze, zjazdy delegatów, polemika dziennikarska na temat tej czy owej taktyki politycznej — jednem słowem wybory zaprzątają obecnie w zupełności uwagę społeczeństwa polskiego w Poznańskiem i na Śląsku. Jeszcze walka przedwyborcza nie została ukończona, z wyjątkiem Górnego Śląska i Prus Zachodnich, nawet kandydatury nie są ostatecznie uchwalone, wynik wyborów nie da się przewidzieć z całą pewnością, a jednak już obecnie można podnieść parę momentów dodatnich, które wpłyną dobroczynnie na dalsze ukształtowanie się stosunków politycznych polskich dzielnic Prus.

Takim faktem nader dodatnim jest ostateczne zdyskredytowanie się polityki *Katolika* i p. A. Napieralskiego. Uwikławszy się w sojusz z centrum, p. Napieralski brnie w swem zaślepieniu coraz dalej, otrzymując od centrum policzek za policzkiem. Już przerzucenie jednego, wytargowanego od centrum kandydata-Polaka z okręgu Katowice-Zabrze do bytomsko-tarnogórskiego było wielkiem upokorzeniem dla p. Napieralskiego. Zniósł tę obelgę pokornie, aż tu tymczasem centrowcy przygotowali dlań nową. Oto, znaczna ich część w okręgu, wytargowanym przez p. Napieralskiego dla Królika, nie chce słyszeć o kandydaturze

---

— A to siepie!

— Jak Bóg da, będzie lało do samego Witymu.

— Och, bracia, nie dojdziemy!

— I kiej djabeł każe nam się tak mordować! — stęknął gniewnie Indor. — Kogo chcemy naszą pilnością zadziwić, kogo naszą cnotą pocieszyć... Czy to was kto kiedy pożałował? Hę! Każdy o sobie myśli, a Bóg o wszystkich... Tak się na całym świecie dzieje... Więc wzięlibyśmy łepiej, chłopcy, z barki wór mąki, połeć słoniny i... hajda! Szczerze mówię! Bez łodzi w pięć dni staniemy na Maczy...

Projektu wysłuchano w milczeniu; jedynie Żygani zagadali na wyścigi:

— A jakże... My wiemy... Tutaj są skróty w górach i łazy spirtonosów *)... Nieraz nosiliśmy wódkę z Olokmy... Tu tajgą można przejść o wiele prędzej...

— Cóż ty na to, Obuchu, hę?..

Obuch wyprostował się i ślę brzozową niedbale na piersiach przesunął.

— Połeć słoniny wam pachnie! — mruknął. — Hej, nalegajcie! Balasy toczycie, a ja sam muszę ciągnąć!

Pochylił się naprzód i mocno ziemię w tył za siebie nogami odepchnął.

Szaruga, wiatr i pasy cisnące pierś przeszkadzały rozmowie. Mimo to Indor po niejakim czasie znowu zagadał:

— Mniej nas, a to samo robić musimy... Woda bystrzejsza, a siła mniejsza... Myślicie może, że wam ten oprawca co doda?.. A jakże, szykujcie kieszeń!.. Uhonoruje waszą cnotę!.. Niech się udławi temi skórami, co mu je ciągniemy!.. Ale niech co chce będzie, nie pójdę dziś dalej... Taki deszcz... Chcecie, to mię puśćcie... Pójdę do łodzi... A lepiej powiedzmy wszyscy, że chcemy się zatrzymać... Czy to mamy weksle płacić, żebyśmy się tak spieszyli?.. Patrzcie, tu pod tym załomem skały ogień rozpalimy, obsuszymy się i wyśpimy... Hej, stop maszyna!

Holownicy zatrzymali się i wysłali Indora z uwiadomieniem, że chcą nocować.

— Zmiłujcie się, ledwie południe minęło!.. Takim sposobem my dopiero na zimę dowleczemy się do Maczy... — przekładał płaczliwie Damian.

— Właśnie, czysty zysk: nic nie zapłacimy za letnie mieszkanie!.. — żartował Indor, zwijając sznur.

— Jadła nie starczy, wziąłem go jak obciął, żeby wam było lżej...

— A ty, psie, to skór nie mogłeś zrzucić?! Głodem nam grozisz?!

Pod skałą, u ogniska wszczęła się zacięta kłótnia. Dzikie, obelżywe wyrazy, okropne groźby i złorzeczenia, zmieszane z pluskiem deszczu, świstem wiatru i rykiem wzburzonej rzeki, spadały na łódź drgającą wśród nurtów na uwięzi, jak uderzenia bezlitosnych pięści. Pani Anna zerwała się z posłania i, pochylona cała w stronę głosów, przysłuchiwała im się z przerażeniem.

— Stefanie, ty słyszysz?

— Słyszę!

— Co to jest?.. Może to napad?.. Nie chodź, nie chodź!.. Błagam cię...

— Ależ dobrze, nie pójdę!.. — odrzekł kwaśno Karski, wyszedł jednak z budki i stanął na pomoście sterniczym.

Guran, Koźma, kupcy, szli gromadnie ku migającym u ognia postaciom; część oryli, wypoczywających na łodzi, wysunęła z pod pokrowca głowy.

— Wstawajcie! Naszych turbują!—szepnął im Spirydion.

(C. d. n.)

*) Spirtonosami nad Leną zwą kontrabandzistów, trudniących się wzbronionym handlem wódką z kopaczami złota. Ci kontrabandziści, zorganizowani w bandy, często zbrojne, staczają nieraz walki z kozakami, strzegącymi kopalni. Spirytus wymieniają oni zwykle na złoto szlichowe, które znów potajemnie przenoszą na południe i w miastach sprzedają przekupniom lub Chińczykom. Ludność tubylcza uważa to zajęcie za zaszczytne i rycerskie.

tego ostatniego. Ci centrowcy wysunęli nową kandydaturę — radcy Antessa, otwartego hakatysty. Pan ten na niedawnem zebraniu w Tarnowskich Górach oświadczył, że Górnoślązacy, jakkolwiek mówią po polsku, to jednak Polakami pod względem narodowym nie są. Wyraził nadzieję, że przy swej kandykaturze skupi wszystkich wiernych górnośląskich Prusaków bez względu na to, czy mówią po polsku, czy po niemiecku. Wobec tej nowej kandydatury *Katolik* jest bezradny i — milczy. Nie wiadomo zresztą, co jest dla p. Napieralskiego bardziej kompromitującem — kiedy milczy, czy też kiedy głos zabierze.

Bo oto p. Napieralski nie waha się odzywać nawet w obronie hr. Ballestrema. Mianowicie stara się za pomocą jezuickich sztuczek oczyścić hakatystę centrowego z winy wypowiedzenia owego historycznego frazesu, że „Polaków należy bić po pysku.“ P. Napieralski rozumuje w ten sposób: hr. Ballestrem nawoływał do bicia „po pysku“ nie Polaków, tylko agitatorów wielkopolskich na Górnym Śląsku. Ponieważ zaś żadnych agitatorów wielkopolskich na Górnym Śląsku niema, więc — hr. Ballestrem nikogo nie obraził właściwie. P. Napieralski zapewnia, czy udaje, że zapewnia, iż mówiąc o agitatorach wielkopolskich, hr. Ballestrem miał na myśli nie kogo innego, jak redaktorów pism polskich na Górnym Śląsku, a w pierwszej linii — jego samego, pana Adama Napieralskiego, redaktora *Katolika*.

Kandydatura radcy Antessa jest nie na rękę kierowniczym kołom centrowców, gdyż, jak wieść głosi, p. Napieralski zobowiązał się do popierania kandydatury hr. Ballestrema w takim razie, jeśli Królik będzie usilnie zalecany przez centrum. Wobec tego w Bytomiu zostało zwołane zebranie centrowe dla omówienia protestów przeciwko Królikowi i dla wysłuchania jego tłomaczenia. Musiał biedny Królik jeszcze raz wyrzec się wszelkiej solidarności z agitacyą wielkopolską i poprzysiądz na wierność katolikom niemieckim. Oto, nadzwyczaj wymowne i nader charakterystyczne dla katolikowców wyznanie wiary Królika: „Stoję na stanowisku centrowem i uznaję program partyi centrowej. W szczególności, jako wierny syn kościoła katolickiego, będę bronił, jeśli zostanę posłem, zawsze spraw kościoła ze wszystkich sił, nie pozwolę praw katolików uszczuplać i zawsze będę się upominał o zupełne równouprawnienie katolików z innymi obywatelami na wszystkich polach życia publicznego. W niekatolickich gazetach nazywają mnie „Wielkopolakiem“ (Grosspole) albo wielkopolskim agitatorem. Wobec tego oświadczam, że jestem Górnoślązakiem polskiego rodu, który swoją ojczyznę kocha i w tem uczuciu czuje się w jedności z całym polskim ludem Górnego Śląska. Jako poseł będę z całych sił bronił praw moich polskich współbraci w kościele, szkole i życiu publicznem. Ponieważ jednak w okręgu bytomsko-tarnogórskim mieszkają także katolicy, których mową ojczystą jest mowa niemiecka, przeto jako syn wspólnej matki — kościoła katolickiego, który wobec wszystkich narodowości jedną kieruje się sprawiedliwością, będę o prawa niemieckich katolików niemniej dbał, tem bardziej, że władam w mowie i piśmie językiem niemieckim.“

Tak wygląda polski kandydat p. Napieralskiego! Wobec podobnego oświadczenia zgromadzeniu bytomskiemu nie pozostało nic innego, jak uznać p. Królika za swego kandydata, co zresztą jego przeciwnikom nie przeszkadza w dalszym ciągu agitować za Antessem.

Rozbrat ludności polskiej z centrum postępuje coraz bardziej i żadne sztuczki panów Napieralskich nie zdołają zażegnać zupełnego zerwania z niem Polaków w niedalekiej przyszłości, tembardziej, że buta centrowców wzrasta ustawicznie. Oto np. w okręgu wschowsko-leszczyński żądają oni zrzeczenia się przez Polaków prawa do stawiania kandydatów polskich i oddania centrowcom monopolu politycznego w tym powiecie. Tymczasem jest to okrąg o przeważająco polskiej ludności. Co najmniej $^2/_3$ wyborców katolików należy tam do narodowości polskiej, a historya wyborów w tym okręgu przedstawia się w następujący sposób: Od r. 1867 w okręgu wyborczym wschowsko-leszczyńskim wybierano dwanaście razy. Z tych dwunastu centrum postawiło tylko jeden raz (w r. 1874) swego kandydata, który przepadł. Polacy zawsze mieli swego kandydata i dwa razy nawet udało im się wybrać posła polskiego — w r. 1881 i 1893. Dopiero w r. 1898 dzięki niedołęztwu polskich władz wyborczych na kandydata w okręgu wschowsko-leszczyńskim dostał się ksiądz Tasch, który był wspólnym kandydatem katolików Niemców i Polaków. Został on wybrany większością 319 głosów i to wyłącznie dzięki Polakom, ponieważ bardzo dużo centrowców-Niemców złamało dane słowo i głosowało za otwartym hakatystą.

W r. 1893 zawarto w okręgu wschowsko-leszczyńskim kompromis, na mocy którego ma być kolejno wybierany to Polak, to centrowiec. Otóż teraz przypada kolej na Polaka, ale centrowcy nie chcą o tem nawet słyszeć, żądając od Polaków, aby znowu głosowali na ks. Tascha. Takie pretensye wywołują wśród wyborców polskich coraz większe rozgoryczenie, coraz większą niechęć do centrowców. Napróżno sfery klerykalne silą się utrzymać lud w złudzeniu, jakoby centrowcy byli jedynymi sojusznikami i obrońcami Polaków, niechęć do centrum wzrasta wciąż i przybiera coraz jaskrawsze formy, jak to widzimy np. na emigracyi — w Westfalii i Nadrenii.

Tam, na zachodzie, gdzie skupiło się przeszło 200,000 polskiej masy robotniczej, reakcya przeciwko germanizacyjnej robocie centrowców oddawna już jest silna. Ludność polska szemrała przeciwko swoim kierownikom, popychającym ją w objęcia germanizatorów i oto przed półtora rokiem miało w Dortmundzie powstać pismo o tendencyi anti-centrowej, zwalczające klerykalnego *Wiarusa*, organ polskich centrowców. Do założenia nowego pisma nie doszło, ale *Wiarus* odrazu zmienił kierunek i, przekształciwszy się na pismo codzienne, skupił dokoła siebie i te żywioły, które dążyły do usamodzielnienia Polaków w Westfalii. Od tego czasu hasło „precz z centrum!“ coraz głośniej rozbrzmiewa na zachodzie. *Wiarus* zyskuje coraz większy wpływ, przeciw niemu zwraca się zaciekłość centrowców. Jego to dziełem było przeprowadzenie kandydatury polskiej (J. Chociszewskiego) w Westfalii i Nadrenii.

Chcąc zainteresować sprawą wyborów w Westfalii szerszy ogół społeczeństwa poznańskiego, działacze westfalscy urządzili w niedzielę 24 maja wiec w Poznaniu. Na sali bazarowej, dokąd wiec był zwołany, zebrało się przeszło 500 osób. W referatach swych działacze westfalscy przedstawili położenie na zachodzie, tłomacząc, jak niepraktycznem było to popieranie centrowców i wypowiadając swe zdanie o tem, co należy czynić, aby przyjść z pomocą germanizującej się ludności polskiej. P. Wilkowski zdał sprawę z tego, co zrobiono dotychczas.

Przed pięciu laty grono ludzi niezależnych założyło polski komitet wyborczy na Westfalię i Nadrenię, aby za pomocą jakiejś organizacyi osiągnąć coś za popieranie centrum, jeśli już nie pod względem narodowym, to przynajmniej w dziedzinie religijnej. Powiedzieli więc Polacy centrowcom: poprzemy was, ale wstawiajcie się za nami do biskupów, aby nam dali lepszą opiekę religijną. Otrzymali odpowiedź odmowną. Wobec tego przeszli z pola religijnego na polityczne, gdyż przekonali się, że tylko w ten sposób wyrobi się usamodzielnienie ludu. Nie zerwali jednak z centrum, lecz postawili mu warunki, na mocy których komitet wyborczy zobowiązałby się do popierania centrowców w Westfalii i Nadrenii. Chodziło o nienarzucanie ludności polskiej kandydatów centrum na Górnym Śląsku, w Prusach Zachodnich i w Poznańskiem. Centrum odmówiło i zwalczał zażarcie polski komitet wyborczy. Jako jedyny środek na przewagę centrum uważa referent utworzenie jednej wspólnej organizacyi wyborczej polskiej na całą Rzeszę niemiecką, bo tylko z taką centrum będzie się liczyło.

Drugi referent, p. Kunz, wystąpił ostro przeciwko konserwatywnej prasie poznańskiej, która pragnie utrzymać Polaków na zachodzie w niewoli centrowej. Po ożywionej dyskusyi wiec uchwalił rezolucyę, wyrażającą uznanie dla praktycznej działalności głównego komitetu wyborców polskich w Westfalii i pochwalającą wystawienie samodzielnej polskiej kandydatury p. Chociszewskiego. Na tym wiecu ostro zaatakowano księży polskich, którzy wystąpili z odezwą za centrum a przeciwko komitetowi *Wiarusa* i zaznaczono, że wpływ księdza powinien się ograniczać jedynie do kościoła.

To odmawianie księżom prawa terroryzowania ludności daje się obecnie słyszeć na całym obszarze tak dotychczas klerykalnych polskich dzielnic Prus. Kler, zaniepokojony tymi nowymi objawami, stara się, jak może, zapobiedz ostatecznemu wymknięciu się mu z rąk wpływów politycznych.

Taki charakter zapobiegawczy miał zjazd w Toruniu, który się odbył 13 maja. Zjazd ten zajmował się sprawą połączenia w jeden związek towarzystw ludowych polskich Prus Zachodnich. Obecni na zjeździe bardzo liczni księża starali się uzależnić najzupełniej te towarzystwa od władzy kościelnej. Zjazd ten, zwołany w porze przedwyborczej, odbył się prawie niepostrzeżenie, gdyż teraz wszystko, jak mówiłem, zajęte jest wyborami, widokami kandydatów polskich itd. Te zwiększa do pewnego stopnia nowy regulamin wyborczy, zapewniający większą, niż dotychczas, tajemnicę głosowania. Według tego regulaminu czynność wyborcza trwa o godzinę dłużej, aniżeli przy wyborach poprzednich — mianowicie od godziny 10-ej nie do 6-ej, lecz do 7-ej. Kartki wyborcze muszą być z białego papieru i bez żadnych znaków. Kartki te, 9×12 centimetrów wielkości, oddaje się przewodnictwu wyborów w kopertach z nieprzejrzystego papieru, zaopatrzonych w stempel rządowy, a po za tem zupełnie czystych. Nowością są właśnie te koperty i sposób, w jaki się je oddaje. Oto, w lokalu wyborczym powinien się znajdować osobny pokój, do którego wchodzi się przez salę wyborczą, albo gdzie to jest niemożliwe ze względów technicznych, w lokalu wyborczym oprócz stołu, przy którym zasiada przewodnictwo wyborów, stawia się stół osobny. Wyborca, który chce głosować, bierze od osoby, stojącej przy wejściu do osobnego pokoju lub też znajdującej się w pobliżu osobnego stołu, kopertę i udaje się z nią do tego pokoju, czy stołu. Tu wkłada kartkę z nazwiskiem posła do koperty i, przystąpiwszy do stołu wyborczego, wymienia swe nazwisko, stwierdza, że jest zapisany na listę wyborczą, poczem oddaje przewodniczącemu kopertę. Ten ostatni wkłada ją zaraz, nie otwierając, do stojącej na stole urny wyborczej. Przewodniczącemu nie wolno przyjmować kopert z kartkami od tych wyborców, którzy się przedtem nie udali byli do osobnego pokoju lub stołu w celu włożenia kartki w kopertę. Kopert, zaopatrzonych w jakieś znaki po za stemplem urzędowym, nie wolno mu również przyjmować.

Nowy ten regulamin, korzystny dla centrum i socyalistów w pierwszym rzędzie, niewątpliwie wpłynie na zwiększenie się liczby głosów polskich przy nadchodzących wyborach. Zresztą liczba ta wzrasta ustawicznie. Tak głosów polskich było:

W roku		mandatów polskich
1871	176,360	13
1874	198,400	14
1877	216,200	14
1878	210,100	14
1881	194,900	18
1884	203,200	16
1887	220,000	13
1888	246,800	16
1893	229,500	19
1898	256,000	14

Nie wchodzą tu głosy polskie, oddane na centrowców-Polaków lub na socyalistów polskich. Przy wyborach tegorocznych liczba głosów, oddanych kandydatowi polskiemu, musi wzrosnąć i z tego jeszcze powodu, że w całym szeregu okręgów górnośląskich stają kandydaci polscy — czy to demokraci narodowi, czy też zwolennicy *Gazety Robotniczej*. Pomijam, naturalnie, wzrost głosów polskich dzięki samemu przyrostowi ludności polskiej w Prusach.

A przyrost ten jest wcale znaczny. Według świeżo ogłoszonych wyników ostatniego spisu stan ludności polskiej z 1900 r. jest następujący. Od r. 1890 do 1900 liczba osób, których językiem ojczystym jest polski, wzrosła o 300,000. Od r. 1900 przybyły dwa powiaty, w których mieszka więcej niż 10% Polaków. W Poznańskiem, pomimo wysiłków rządu, liczba Polaków znacznie się powiększyła w stosunku do ogólnej liczby mieszkańców. Zmniejszyła się tylko w dwóch powiatach: w Żnińskim (o 4,8%) i Jarocińskim (o 2,3%). Natomiast powiększyła się: w Obornickim o 3%, w Rawickim o 3,4%, w Strzelnickim o 3,6%, w Wyrzyskim o 3,7%, w Grudziądzkim o 4,3, w Babimojskim o 4,85%, w Poznaniu o 5,3% i w Międzychodzkim o 6,0%. Tylko na Górnym Śląsku widzimy zmniejszenie się stosunku Polaków do ogólnej liczby mieszkańców. Tak np. w powiecie Królewska Huta (miasto) o 11,27%, w Kluczborskim o 9,3%, w mieście Bytomiu o 6,3%, w powiecie Bytomskim o 5,9%. Tłomaczy się to znacznym napływem żywiołów obcych, jakkolwiek i w tych powiatach ludność polska absolutnie znacznie wzrosła.

Pośrednik.

Obowiązek dowodu.

(Nadesłane).

Nasi Burkowie i Juniusowie dziennikarscy, dający zagranicznym mężom stanu bezpłatne lekcye „zdrowej polityki,“ nie mają żadnej pociechy ze swych upartych uczniów, ale za to rodaków, przysłuchujących się tym wykładom, kształcą znakomicie. Polityka przecie nie jest dziedziną odosobnioną, jej sprawy wiążą się ściśle ze wszystkiemi nićmi życia społecznego, więc chociaż p. Adamski i p. Ewska nie znajdują sposobności występowania na wiecu, w parlamencie lub u steru rządowego, zawsze jednak dowiedzą się od światłych mistrzów, jakiemi formułami należy rozwiązywać pewne zagadnienia moralne. Szczególnie pouczającym (dla nas) jest długi szereg lekcyj, udzielonych francuskiemu prezesowi ministrów — Combesowi. Objaśniono należycie tego brutala, że nie ma najmniejszego pojęcia o „prawdziwej wolności,“ bo nie rozumie, że jeśli obywatel cywilny chce otworzyć szkołę tresowania psów, powinien uzyskać pozwolenie władzy; ale jeśli obywatel duchowny chce otworzyć szkołę tresowania ludzi, nie potrzebuje starać się o żadną koncesyę. Czyli — innemi słowy — równość obywateli wobec prawa jest „gwałtem,“ gdyż zawsze jedni muszą brykać sobie swobodnie, jak konie na stepie, a drudzy chodzić w zaprzęgu okiełznani i słuchać furmana. Obok tej zdobyliśmy drugą cenną prawdę. Wiadomo, że wsteczenictwo francuskie — jak zresztą każde — nie mogąc pokonać obecnego rządu inną bronią, atakuje go ciągle oszczerstwem. Zmyśla ono fakty niebywałe, nieprawdopodobne, rozmazuje ich błoto na honorze przeciwników i każe im się myć publicznie, wiedząc od Moliera, że niema na świecie takiego mydła, któreby potwarz zmyło doszczętnie. Pozornie jest to wyłącznie domowa sprawa Francyi. W rzeczywistości— nie, bo z niej wydobywamy zasady na własny użytek. W zeszłym tygodniu przeciągnięto w Paryżu przez rynsztok potwarczy ministra marynarki, Pelletana, oskarżywszy go, że wchodził w zmowę z uwięzionymi za oszustwo Humbertami. Ponieważ jest to człowiek niepokalany, więc napiętnował zwrócony przeciwko niemu zarzut jako kłamstwo i zdawało mu się, że dla obronienia swej czci uczynił dosyć. „To *nas* nie przekonywa — zawołali oszczercy paryscy — *dowiedź*, że to nieprawda.“ Tak, niech p. Pelletan dowiedzie — powtórzył oklaskujący namiętnie podobne ataki *Kuryer Warszawski* — że nie odebrał listu i pieniędzy. Tu właśnie o cudze sprawy zaczepia się nasza etyka, wyrabiająca reguły dla swego społeczeństwa. Stanowi ona, że obowiązek złożenia dowodu spoczywa nie na oskarżycielu, lecz na oskarżonym. A ponieważ w jednym centymetrze sześciennym naszej opinii publicznej mieści się tyle bakteryj kłamstwa, ile w centymetrze sześciennym przy wylocie kolektora bielańskiego do Wisły bakteryj gnilnych, możemy więc łatwo obliczyć praktyczną użyteczność takiej zasady moralnej. Nie łudźcie się też, naiwni rodacy, że w wypadku potwarczej napaści wystarczy wam do odparcia jej słowna lub milcząca pogarda. O, nie, musicie koniecznie dowieść swej niewinności, co wam się nigdy nie uda, gdyż naprzód łatwiej wykazać, że coś istnieje, niż że nie istnieje, a powtóre, zawsze galerya krzyknie, że wam zabrakło trochę świadectw do przekonania jej. Przypuśćmy, powiedziano o tobie: on ma ogon. Zaczynasz dowodzić:

— Ogona nie mam, proszę mnie obejrzeć.

— Schowałeś go w ubranie.

— Przysięgam, że mówię prawdę.

— Nie wierzymy ci, bo jesteś znanym wiarołomcą. Rozbierz się.

— Nie mogę przecie obnażyć się publicznie. Niech mnie zrewidują w tajemnicy biegli.

— Uprosisz ich lub przekupisz.

Rozbierasz się zupełnie.

— Aha! — krzyczą oskarżyciele, a za nimi tłum — nie masz ogona, ale go miałeś. Jest wyraźna blizna. Dowiedź, że ci go nikt nie odciął.

No, dowiedź!

A z ogonem poradzić sobie łatwiej, ale jak tu „niezbicie udowodnić,“ że komuś *nie* ofiarowałeś przekupnej usługi, że *nie* popełniłeś morderstwa, którego sprawca nie został wykryty, że *nie* uwiodłeś dziewczyny, która płynąc do Ameryki, utonęła w morzu, że *nie* nadużyłeś zaufania przyjaciela, który umarł przed 20 laty, że *nie* miałeś zamiaru okraść banku? Zwracam przytem uwagę, że ponieważ potwarca ma przywilej gołosłowności twierdzeń, który tobie nie służy, więc jeśli mu się podoba, może wszystkie te zbrodnie odrazu złożyć na ciebie. I ty musisz, musisz dowieść, żeś ich nie popełnił.

Tak chce oszczerstwo, które dziś obrosło ziemię, które posiadamy w bujnym rozkwicie na gruncie rodzinnym i które jeszcze dla pokrycia wielkich zapotrzebowań sprowadzamy z zagranicy. Ładny chwaścik — co? Nie dziw też, że bywa hodowany jako krzew ozdobny w dziennikarskich ogródkach.

Go—on.

Z Cesarstwa.

Reforma gospodarki ziemskiej w Kraju Zachodnim.— Petersburski zjazd w sprawie rozszerzenia konsumcyi żelaza. — Konsultacya prawnicza przy Muzeum popierania pracy w Moskwie i jej praktyka. — „Kriucz-niki“ na Wołdze. — Odczyty ludowe i literatura piękna.

W Zbiorze *praw* ogłoszono reformę gospodarki ziemskiej w dziewięciu guberniach Kraju Zachodniego. Myliłby się jednak, ktoby myślał, że nowe prawo wprowadza w nich system samorządu ziemskiego, chociażby w tym zakresie, w jakim istnieje w guberniach centralnych Cesarstwa. Przedstawicielami społeczeństwa w „komitetach do spraw gospodarstwa ziemskiego“ (które mają odpowiadać ziemskim zebraniom gubernij) mają być miejscowi ziemianie lub przemysłowcy, *mianowani* przez ministra spraw wewnętrznych na przedstawienie władzy miejscowej lub nawet pomimo jej przedstawienia. Również członków wydziału gubernialnego ziemskiego mianuje minister spraw wewnętrznych. Zapewne, tak zwani deputaci będą w stanie informować komitety do spraw gospodarstwa ziemskiego o potrzebach miejscowych. Bądź co bądź, „głasnyje“ w guberniach zachodnich więcej będą przypominać tak zwanych rzeczoznawców, których ostatnimi czasy dość często wzywano do rozmaitych rad i komitetów, niż obieralnych deputatów gubernij ziemskich. Reforma w bieżącym jeszcze roku ma być wprowadzona do trzech gubernij: Mohylowskiej, Witebskiej i Mińskiej; co do sześciu innych (Kowieńska, Grodzieńska, Wileńska, Kijowska, Wołyńska i Podolska) minister spraw wewnętrznych ma przedstawić drogą, określoną przez prawo, wnioski o wprowadzeniu do nich nowych instytucyj w tym czasie, jaki uzna za stosowny.

Jedną ze spraw, nad których rozwiązaniem coraz energiczniej pracują ziemstwa ostatnimi czasy, jest sprawa rozpowszechnienia żelaza wśród ludności włościańskiej. Ziemstwa urządzają magazyny narzędzi rolniczych i innych wyrobów metalowych, sprzedają je włościanom po cenie kosztu i na możliwie dogodnych dla ludności warunkach kredytu. W tej istotnie kulturalnej pracy napotykają one wiele trudności, jak: brak kapitału obrotowego i taniego kredytu, drożyzna żelaza i surowca wskutek wysokich ceł przywozowych itd. Niektóre strony tej kwestyi zostały wyjaśnione przez Zjazd w sprawie rozpowszechnienia żelaza w państwie, który w kwietniu odbył się w Petersburgu. Zjazd ów, zorganizowany przez Cesarskie Towarzystwo techniczne, różnił się tem od poprzednich, że brali w nim udział nietylko przedstawiciele przemysłu żelaznego, lecz i delegaci od ziemstw, miast, towarzystw naukowych itp. Zjazd petersburski wyjaśnił przedewszystkiem szczegół bardzo ważny, mianowicie: przy ogromnym wzroście produkcyi żelaza zupełny prawie brak jej specyalizacyi i podziału pracy między pojedynczymi zakładami metalurgicznymi w państwie. Dzięki tej okoliczności fabryki produkują wyrób drogi — na ogół droższy, niż za granicą, a jednocześnie produkcyjność ich na 45 milionów pudów surowca, tj. na 2% przewyższa jego maksymalne zużycie. Więc sprowadzenie do zera dowozu produktu obcego nie postawiłoby przemysłu żelaznego w państwie w stanie normalnym.“ Są to bezwątpienia skutki nieliczącego się z potrzebą rzeczywistą „gründer-

stwa,“ które przez ostatnich lat kilkanaście rozkwitło bujnie na niwie przemysłu żelaznego pod osłoną systemu protekcyi. Wiadomo, że przeważna część większych zakładów metalurgicznych rozwinęła się i trzyma jedynie dzięki zamówieniom kolei żelaznych; owóż, system rozdawania tych zamówień, odrzucający wolną konkurencyę wszystkich fabryk, został uznany przez Zjazd za niezgodny z pożytkiem gospodarstwa narodowego. Dalej Zjazd wyraził życzenie, by „rząd po obecnem przesileniu przeszedł do stopniowego zmniejszania ceł na żelazo i wyroby żelazne,“ a także, „by zapobiegł sztucznemu podwyższaniu cen na owe produkty za pomocą organizacyi syndykatów.“ Właśnie przedstawiciele ziemstw i miast zaznaczyli konieczność zniżenia cen żelaza do poziomu zagranicznych i Zjazd uznał tę konieczność ze względu na potrzebę rozpowszechnienia żelaza wśród ludności rolnej. W tym celu, zdaniem uczestników Zjazdu, niezbędnym jest ogólny wzrost dobrobytu ekonomicznego ludności i szerokie rozpowszechnienie oświaty. Głębokie zrozumienie zależności postępu przemysłu od położenia rolników w przemyśle podyktowało uczestnikom Zjazdu wniosek o przedstawienie rządowi, „by uwzględniono obecne warunki kwestyi robotniczej w Rosyi“ i „aby do udziału w omówieniu i rozwiązaniu tej kwestyi powołano siły społeczeństwa,“ a w tym celu pożądane byłoby zwołanie specyalnego w tej sprawie zjazdu.

W razie urzeczywistnienia tej myśli przyszłemu zjazdowi w kwestyi robotniczej wiele ciekawego materyału mogłoby udzielić istniejące w Moskwie przy Muzeum popierania pracy Biuro porady prawnej. Zostało ono założone w końcu 1901 r. w celu bezpłatnego udzielania porad prawnych oraz informowania interesantów co do instytucyj, udzielających ludności pomocy prawnej. W Biurze czynny udział biorą nietylko prawnicy, lecz lekarze i technicy. Obecność tych ostatnich tłomaczy się koniecznością wyjaśnienia kwestyj specyalnych, tyczących się np. stopnia utraty zdolności do pracy wskutek wypadku nieszczęśliwego, nieznanych prawnikowi szczegółów technicznych itp. Pomimo że Biuro jest otwarte dla publiczności tylko przez dwie godziny w tygodniu, mianowicie w niedzielę, jednakże jego działalność rozwija się dość szeroko. Zwracają się do niego najczęściej grupy osób, łączące się w sprawach analogicznych lub wspólnych. W 1902 roku zasięgało porady 271 grup, z 3,854 osób złożonych. Większość klientów to włościanie z pochodzenia, z profesyi — robotnicy. Działalność Biura przejawiała się w udzielaniu porad, w układaniu najrozmaitszych podań, próśb, skarg i w pilnowaniu spraw, już toczących się w sądach. W sprawozdaniu rocznem przytacza ono liczne wypadki, w których nie było w możności przyjść z pomocą klientowi. Bardzo liczną grupę interesantów (około $^1/_3$ ogólnej liczby) stanowią osoby, które straciły zdolność do pracy w fabrykach; wśród nich w położeniu najbardziej bezradnem znajdują się ci, którzy stali się niezdolni do zajęć wskutek podeszłego wieku lub ogólnych ciężkich warunków pracy. Często zjawiają się robotnicy, posiadający dobre świadectwa o 25—50-letniej służbie w fabryce i oddaleni tylko ze względu, że nie są już w stanie pracować z należytą energią. Tacy z wielką tylko trudnością dają się przekonać, że nie przysługuje im prawo emerytury lub mniej więcej znacznej zapomogi jednorazowej, która dałaby im możność istnienia. Nie o wiele lepszem jest położenie tych, których kalectwo, otrzymane przy robocie, uczyniło niezdolnymi do pracy. Prawo wymaga od nich dowodów, że wypadek nieszczęśliwy wydarzył się z winy przedsiebiorcy, a tymczasem kaleka bardzo często spotyka niezwalczone przeszkody przy badaniu powodów wypadku. Lecz nawet gdy robotnikowi udało się zebrać potrzebne wiadomości, otrzymuje on zwykle wyrok sądowy w półtora lub dwa lata, i to w takim tylko razie, jeśli strona pozwana ograniczy się do dwu instancyj i nie przeniesie sprawy do senatu. Zaznaczyć również trzeba, że nawet po wygraniu sprawy robotnik nie ma pewności, czy przyznane mu miesięczne raty będą wypłacane dożywotnio: niech tylko pozwany okaże się niewypłacalnym, kaleka będzie miał prawo do emerytury tylko na papierze. Badanie podobnych wypadków przekonywa, że wszyscy robotnicy, którzy z jakiejbądź przyczyny utracili w fabrykach zdolność do pracy, są w tak okropnem położeniu, że najczęściej muszą kończyć sprawę ugodą dobrowolnę za kilkaset rubli, które nie mogą zabezpieczyć im przyszłości. Potrzeba koniecznie—wnosi Biuro— przedsiewziąć kroki prawodawcze, zmierzające ku ubezpieczeniu robotników od choroby, nieszczęśliwych wypadków, niezdolności do pracy itp. i takim właśnie krokiem jest w obecnych warunkach przymusowe, państwowe ubezpieczenie robotników.

Nie mniej liczna grupa klientów (25% ogółu) zwraca się do Biura porady ze skargami na nieprawidłowe obrachunki fabrykantów przy wypłatach należności za pracę. Otóż, przy robocie akordowej zarobek znacznie się zmniejsza wskutek tego, że zmuszają robotników darmo przygotowywać warsztaty, przykręcać i zakładać osnowę, naprawiać czółenka tkackie, czyścić wyroby, przestawiać maszyny, myć igły itd. Na robotników nakłada się kary pieniężne za samowolne przerwy w robocie, lecz nic się im nie płaci za przymusowe, gdy fabrykant nie dostarcza na czas materyału surowego; wyrób odmierza nieprawidłowo, często bowiem odrzuca od jednego do sześciu werszków. W wielu wypadkach skargi owe są najzupełniej słuszne, lecz robotnikom niełatwo uzasadnić je poprawnie i określić ściśle wysokość swoich pretensyj, wszystkie bowiem dowody znajdują się w rękach przedsiebiorcy, a częstokroć są nawet stracone. Inspektorowie fabryczni skierowywują robotników do sądu, który stawia im całkiem niewykonalne wymagania. Niewątpliwie — zdaniem Biura—inspektorowie fabryczni przy udziale pracodawców i robotników łatwiejby mogli rozpoznawać te skargi i godzić naruszone interesy.

Dość znaczne grupy robotników udawały się do Biura porady, prosząc o wskazanie instytucyi, w której mogliby ubezpieczać od pożaru swe mienie, zdobyte wieloletnią pracą; Biuro, niestety, nie mogło im wskazać takiej instytucyi; bowiem towarzystwa asekuracyjne nie chcą mieć do czynienia z tak drobnymi klientami.

Biuro kończy swe sprawozdanie wnioskiem, by Muzeum popierania pracy włączyło do swego programu: 1) naukowo-praktyczne opracowanie sprawy asekuracyi robotnikow na wypadek choroby, kalectwa i utraty zdolności do pracy; 2) organizacyę robotników w fabrykach, na zasadzie przedstawicielstwa, dla godzenia nieporozumień, wynikających między pracodawcami a robotnikami z wykonania zawartej umowy; 3) utworzenia specyalnych sądów dla roztrząsania pretensyj robotników do pracodawców itp.

Sprawie wyświetlenia warunków pracy licznej kategoryi robotników, znanych na Wołdze i w portach morza Czarnego i Kaspijskiego pod nazwą „kriuczniki“ (tragarze, ładujący towary na parostatki), poświęcony został referat, przedstawiony przez dr. Łoszytowa) niżnonowogrodzkiemu oddziałowi Towarzystwa ochrony zdrowia publicznego. Referent zebrał dane dla swych wywodów w jednem z wielkich siół nadwołżańskich, wypuszczającem rocznie do 200 tragarzy na Wołgę. Do roboty tej poszukiwani są wyłącznie ludzie w rozkwicie sił fizycznych, w wieku od 20 do 40 lat, a jednak wcześniej czy później stają się oni inwalidami, których wieś nie chce przyjmować nawet na pastuchów. Przedewszystkiem zgubnie wpływa na ich zdrowie niezmierny ciężar przenoszonych ładunków: 15, 18, nawet 20 pudów niesie na swych plecach taki „kriucznik,“ któremu „ambicya zawodowa“ nie pozwala odmawiać i większych jeszcze ciężarów. O uregulowaniu ich pracy niema i mowy: tragarze są zajęci nieokreśloną ilość godzin „według rzeczywistej potrzeby“ — dniem, nocą, wśród wiatru, w upały i w przejmujące chłodem słoty jesienne. Dziennie taki tragarz dźwiga przeciętnie 200 pudów, co stanowi na okres nawigacyi około 40,000 pudów. Jeśli „kriuczniki“ wydają się na oko zdrowi i silni, to jest tylko następstwem doboru zawodowego, odrzucającego jednostki słabsze. Długość przeciętna ich służby wynosi siedem lat, po których czeka ich nędza, szpital, więzienie. Z chorób zawodowych u tragarzy na pierwszem miejscu postawić należy cierpienia kończyn, przeważnie dolnych; dalej idzie ból pleców, krzyża i wrzody, pokrywające plecy; rozszerzenie żył, powodujące groźne krwotoki; cierpienia piersiowe, suchoty i malarya. Umowy „kriuczników“ z przedsiebiorcami zawierają wiele ciężkich zobowiązań. Tak np. członkowie „artelu“ tragarzy odpowiadają solidarnie swymi zarobkami za wszelkie uszkodzenie towaru; każdy „kriucznik“ może być pozbawiony pracy z woli przedsiebiorcy; robotnicy nie mają prawa odmawiać roboty w jakiejkolwiek ilości i o każdej porze. Umowa zawiera nawet zastrzeżenie, że „kriuczniki“ nie będą występowali z pretensyami lub powództwem do przedsiebiorców w razie wypadków nieszczęśliwych, choroby lub kalectwa... W Niższym Nowogrodzie, według spisu ludności z 1897 r., z 3,000 „bosiaków,“ tj. ludzi niemających ani stałego zarobku, ani przytułku, około 50% wyszło z „kriuczników.“

Gdy już mowa o „bosiakach“ i Niższym Nowogrodzie, wspomnieć należy o ciekawych próbach, przedsięwziętych przez istniejącą w tem mieście instytucyę w celu dostarczania tej właśnie warstwie ludności godziwej rozrywki. W zabiegach lepszej części inteligencyi rosyjskiej około rozpowszechnienia oświaty wśród niższych warstw społeczności niepoślednie miejsce zajmują odczyty publiczne i organizacya rozumnych rozrywek. Znana w Rosyi pracowniczka na tej niwie, p. Ałczewskaja, zrobiła, jak wiadomo, ciekawe spostrzeżenie, że zrozumienie arcydzieł rosyjskiej literatury pięknej nie jest bynajmniej ludowi niedostępne. Spostrzeżenie owo stwierdzono teraz doświadczeniem w Niższym Nowogrodzie. Jak donosi *Wiestnik Jewropy*, przy pewnej herbaciarni uformowała się komisya, urządzająca odczyty ludowe. Osobliwością tych odczytów jest włączenie do zwykłego repertuaru utworów dramatycznych, odczytywanych z podziałem ról między kilka osób. Przeczytane w ten sposób zostały: *Żeniaczka* („Żenit'ba“), *Rewizor* Gogola, *Troska od rozumu* („Gorie ot uma“) Grybojedowa, *Niedorostek* („Niedorosl“) Von-Wizina, *Skąpy rycerz* Puszkina i kilka komedyj Ostrowskiego. Publiczność, składająca się przeważnie z „bosiaków,“ bardzo się zainteresowała tymi odczytami. „Jak zaczarowana stała po skończeniu czytania („Gorie ot uma“), nie chcąc wierzyć, że to już koniec rozrywce. Czytający musieli po kilkakroć powtarzać, że odczyt się skończył. Wdzięcznej, niezdolnej do powstrzymania się od wyrazów pochwały lub nagany, publiczności herbaciarni nie można porównać z przesyconymi, obojętnymi gośćmi naszych teatrów i klubów... Audytoryum zawsze

jest szczelnie zapełnione, miejsca (około 500) zajęte na godzinę przed rozpoczęciem odczytu; porządek wzorowy utrzymuje się bez żadnej interwencyi policyi itd." Przytoczony opis komisya kończy uwagą: „Dla ludu wcale nie trzeba jakichś specyalnych odczytów i zabaw. Ludowi podoba się też i to, co się podoba inteligencyi. Dobra deklamacya, dobre wykonanie utworów dramatycznych — nawet bez teatralnyah akcesoryów (tj. bez gry i dekoracyi) — zachwyca lud tak dobrze, jak inteligencyę." Sądzę, że ta uwaga zawiera wiele słuszności i że idąc za tym przykładem, warto by było zrobić próbę wprowadzenia arcydzieł literatury polskiej na sceny zabaw ludowych w Królestwie.

A. Z—a.

UBEZPIECZENIA ROBOTNICZE

a walka z gruźlicą.

Niedawno poruszona została w *Prawdzie* ważna kwestya społeczna — walki z gruźlicą. Autor artykułu mówił głównie o środkach samopomocy społecznej, mogących być użytymi dzięki inicyatywie prywatnej; ani przez chwilę nie chcielibyśmy też przeczyć, że środki takie mają ogromne znaczenie, że w danych warunkach przedewszystkiem one na myśl przychodzą. Obok tego jednak chcielibyśmy zwrócić uwagę na to, jak wielką doniosłość w tych sprawach mają środki przedsiebrane przez państwo, a jednocześnie, jak ściśle wszystkie tego rodzaju kwestye związane są z całokształtem prawodawstwa pracy, obowiązującego w danym kraju. Za przykład posłużą nam Niemcy, gdzie prawodawstwo to — jako całokształt — najwyżej jest rozwinięte.

Jak wiadomo, istnieje tam obowiązkowe państwowe ubezpieczenie robotników nietylko od nieszczęśliwych wypadków przy pracy, ale również w razie choroby i niezdolności do zarobkowania. Otóż prawo z r. 1899, dotyczące tego ostatniego ubezpieczenia (inwalidów pracy) upoważnia urzędy ubezpieczeniowe do czynności zapobiegawczej: jeśli mianowicie robotnik ubezpieczony cierpi na taką chorobę, która grozi pozbawieniem go zdolności do zarobkowania, to urząd ubezpieczeniowy, na który w takim razie spaść musi ciężar wypłacenia renty inwalidowi, ma prawo zająć się jego leczeniem. Leży to oczywiście w interesie budżetu ubezpieczeń, ale też i w interesie ludności pracującej. Urzędy ubezpieczeniowe mają również prawo zająć się leczeniem takich inwalidów, już pobierających rentę, którzy dzięki kuracyi mogliby odzyskać zdolność do zarobkowania — a więc przestać być ciężarem dla funduszu ubezpieczeniowego.

Te to ustępy prawodawstwa o ubezpieczeniu państwowem na wypadek niezdolności do zarobkowania stały się punktami wyjścia całej, na wielką skalę zakrojonej, walki z gruźlicą. Gruźlica bowiem, która, jak wiadomo, jest prawdziwą chorobą mas, chorobą klas pracujących, i na którą w Niemczech przypada $^1/_3$ wszystkich wypadków śmierci osób od 15 do 60 roku życia, jest także źródłem ogromnej ilości wypadków niezdolności do zarobkowania, obciążających rentami fundusze kas ubezpieczeniowych. Statystyka urzędowa rozróżnia 28 przyczyn niezdolności do zarobkowania: gruźlica płuc między niemi zajmuje drugie miejsce co do mężczyzn, piąte — co do kobiet. Więcej niż połowa mężczyzn, którzy stają się niezdolnymi do pracy zarobkowej w wieku między 20 a 30 rokiem życia, zawdzięcza to gruźlicy! Nawet w gospodarstwie rolnem i leśnem straszna ta plaga czyni niezdolnymi do pracy 350 na tysiąc robotników, którzy między 20 a 24 rokiem życia stają się inwalidami.

W tych warunkach nic dziwnego, że rządowe urzędy ubezpieczeniowe, których jest w Niemczech 31, oraz kasy prywatne dla inwalidów pracy, które, odpowiadając wymaganiom prawa, uznane zostały za równoznaczne z urzędami, w liczbie 9, skorzystały z danego im prawa i zaczęły leczyć gruźliczych chorych. Podług statystyki, wydanej świeżo w *Amtliche Nachrichten*, ta działalność lecznicza, zaczynająca się od r. 1897, objęła w ciągu lat pięciu 104,498 osób, a w ostatnim roku, 1901 — 32,710. Z tych 14,656 podlegało kuracyi systematycznej, dłuższej; co do reszty — poprzestawano na odwiedzinach lekarza, dostarczaniu lekarstw itp. W pierwszej kategoryi znajdowało się 10,812 mężczyzn i 3,844 kobiety. Spora ilość brała z porady lekarzy różne kąpiele, niewielka garść przebywała w szpitalach, natomiast ogromna większość, przeszło $^4/_5$, była wysłana do specyalnych sanatoryów. Urzędy i kasy ubezpieczeniowe oraz kasy chorych budują własnym kosztem mnóstwo tych sanatoryów dla suchotników; w danej chwili jest ich w Niemczech około stu z 5,000 łóżek, co, przy zmianie czterokrotnej w ciągu roku, daje możność leczenia około 20,000 biedaków; a prócz tego wciąż budują się nowe sanatorya tego rodzaju, np. obecnie w Hochwaldzie na koszt saskiego, w Römhildzie na koszt turyngskiego urzędu ubezpieczeniowego i w. in. W tych sanatoryach środkami leczniczymi są: powietrze górskie i leśne, wolne od kurzu, odpowiednio normowany ruch, obfite odżywianie i ostrożne hartowanie ciała; chorzy otrzymują też wskazówki co do zachowywania się na przyszłość. Rezultaty mogą być uważane za bardzo dobre: okazuje się bowiem, że 11,249 osób, czyli $77^0/_0$ ogółu leczonych systematycznie (a więc ciężej chorych) mogło wrócić do swej zwykłej pracy zarobkowej bez obawy zostania inwalidami. Urzędy ubezpieczeniowe zaczęły zresztą w ostatnich czasach robić wybór między chorymi, a to za pomocą „stacyj obserwacyjnych" przy szpitalach (w Altonie, Szczecinie, Hanowerze itd.): ze względu na cel całej akcyi pierwszeństwo co do przyjęcia do sanatoryów otrzymują ci chorzy, którzy mogą jeszcze być wyleczeni, ci natomiast, którzy już skazani są na utratę zdolności do zarobkowania— i tak za parę lat otrzymają swą rentę...

Cała ta akcya lecznicza kosztuje dość drogo: owe czterdzieści urzędów i kas ubezpieczeniowych, które istnieją w Niemczech, mają dochodu rocznie 134 miliony marek, rozchodu na wypłatę rent inwalidom—95 mil., a wydały razem w r. 1901 na leczenie zapobiegawcze — blizko 8 milionów marek, czyli $6^0/_0$ dochodu; część niewielką — około miliona— zwróciły na mocy prawa kasom inwalidów kasy chorych i zarządy gminne, które musiałyby były wypłacić zapomogi tym samym chorym. Lecz pomimo takich wydatków działalność lecznicza zapobiegawcza, tak pożyteczna dla ludności, opłaca się kasom ubezpieczeniowym.

Chory, którego kasa ubezpieczeniowa chce oddać do sanatoryum, nie ma prawa odmówić; a raczej ma, lecz w takim razie traci prawo do renty, gdy wskutek własnego uporu i nieroztropności stanie się niezdolnym do zarobkowania. Oczywiście, że tu nasuwa się natychmiast uwaga: jeśli chory ma rzucić pracę i iść do sanatoryum, to trzeba pomyśleć o jego rodzinie, którą on swą pracą utrzymuje. Spokój o los rodziny będzie też ważnym czynnikiem kuracyi, przyspieszy wyzdrowienie w sanatoryum—z tego więc punktu widzenia opieka nad rodziną chorego opłaci się także kasie ubezpieczeniowej! To też prawo nakazuje tym kasom i urzędom wypłacać rodzinie chorego zapomogę podczas jego kuracyi. Niestety, ta zapomoga obowiązkowa jest bardzo nizka: wynosi połowę tego, co robotnik pobierałby od kasy chorych, gdyby był uznany przez nią za chorego. Ale prawo upoważnia urzędy i kasy ubezpieczeniowe do podnoszenia tej zapomogi, o ile środki na to pozwalają; z upoważnienia tego skorzystało już 17 kas, podwajając przepisane *minimum*. W r. 1901 wydatki na ten cel wyniosły 488,961 marek— i tak jeszcze bardzo mało, bo przeciętnie tylko 33 m. na chorego; lecz naturalnie rzeczywista przeciętna jest inna, ponieważ nie mamy osobnego obliczenia chorych, posiadających rodzinę. Jednakowoż niedostateczność tych zapomóg dla rodziny jest powszechnie uznana; pisarze społeczni wzywają dobroczynność prywatną do współdziałania na tym punkcie; i istotnie, tworzą się w tym celu w wielu miejscowościach, np. przy oddziałach towarzystwa popierania sanatoryów ludowych, grupy pań, które opiekują się rodzinami robotników, leczonych w sanatoryach, a także rekonwalescentami, wypuszczonymi już z sanatoryów. Dla tych bowiem jest znów bardzo ważną rzeczą — dostać na razie pracę niezbyt ciężką, zastosowaną do ich stanu zdrowia, aby zbyt wielki trud nie zrujnował odrazu rezultatów odbytej kuracyi. Czasem — jak np. w Harlaching pod Monachium—same zarządy sanatoryów zajmują się wyszukiwaniem odpowiedniego zajęcia dla rekonwalescentów, wchodząc w tym celu w stosunki z miejskiemi biurami pośrednictwa pracy.

Taki to imponujący i pouczający ruch w celu zwalczania gruźlicy (głównie gruźlicy, ale tak samo i innych chorób) rozwija się pod wpływem wielkiej instytucyi państwowej ubezpieczenia wszystkich robotników od choroby i niezdolności do zarobkowania.

R. S. Ławski.

FEJLETON.

VERBUM NOBILE.

Wydziedziczeni.

Czytaliście książkę Bohowityna „Wyzyskiwani"? Tak. Więc nauczycielstwo jest pułapką na idealistów? Tak. Więc egoizm wyzyskuje haniebnie najszlachetniejsze instynkty? Tak. Czy to być powinno? Rozumie się, że nie. Kto ma się ująć za tymi idealistami? Nikt, oni sami. Dlaczego? Bo każdy będzie im niósł pomoc nie do walki o prawa i stanowisko, ale będzie wyłącznie po przegranej osładzał im los; każdy będzie pomagał im metodą filantropijną, czyli że będzie podtrzymywał tylko ich stanowisko; w miarę bowiem rosnącej opieki nad inwalidami pedagogii, egoizm będzie się tem mniej krępował z wyzyskiwaniem i tem bezczelniej inwalidów wytwarzał. To są fakty ustalone, których nie obali żadna dyalektyka.

Książka Bohowityna zjawia się po „Bezdomnych" Żeromskiego. „Wyzyskiwani" Bohowityna to wyodrębniona kategorya „Bezdomnych." A więc myśl rzucona znalazła przygotowaną glebę. Pytanie wraca i to w formie specyalnej, tyczącej się jednego odłamu „Bezdomnych." Wynik interesuje nas w tej chwili wyłącznie ze stanowiska społecznego. Beletryści mówią nam, jak jest; publicyści powinni mówić, jak powinno być.

Ach, jak powinno być! Nie wiem, nie wiem!.. Wiem jedno: jak brać się do refor-

my. Gdy obierzemy drogę właściwą, wtedy przyszłość pokaże, jak powinno być. A więc chodzi o drogę właściwą? Tak, wyłącznie o to.

Wiemy już, że nauczycielstwu nie pomoże nikt, że filantropia tylko pomnoży jego niedolę. Zatem nauczycielstwo powinno o sobie myśleć, powinno myśleć o doli nauczycieli, a nie o doli inwalidów nauczycielstwa, a przynajmniej obecnie powinno w pierwszej linii myśleć o doli tych, którzy nie są jeszcze złamani, których życie nie powinno złamać, którzy na starość powinni mieć zabezpieczony dach nad głową i kawałek chleba z zasług całej swojej działalności, a nie z łaski „ludzi dobrej woli.“ Minęły bowiem wieki jałmużnictwa a nastały wieki organizacyi.

Ktoś słusznie zauważył, że nie brak nam talentów, ale brak charakterów. Ba, egoizm stara się talent wyzyskać a charakter natomiast złamać! I wytwarzają się zaiste stosunki potworne. Człowiek, który powinien właściwie hodować w dziecku charakter, sam się go wyzbyć musi. Będzie on tedy rozwijał w dziecku rozum, pamięć, będzie go obładowywał różnemi wiadomościami, tylko nie zrobi z niego człowieka.

Do rzędu „Wyzyskiwanych“ czy „Wydziedziczonych“ zaliczyłbym literatów i dziennikarzy, którzy obecnie mają własną instytucyę a zawsze mieli milion proszonych i nieproszonych opiekunów. I do nich stosować się może, a nawet musi ów sąd, że więcej mamy talentów, niż charakterów. Powiedziałbym nawet, iż są to ludzie, od których się wcale charakteru nie żąda...

Nie zapłacił? Eh, to literat! Pijak? Eh, to dziennikarz! Łgarz? Eh, to literat! Człowiek bez zdania? Eh, to dziennikarz!

Tak się to mówi z wybaczającym uśmiechem. A przecież owi dziennikarze i literaci są dostarczycielami uczuć, myśli, z rąk ich bierzemy codziennie strawę duchową, zarówno z potrzeby jak i z nałogu, oni są co najmniej pośrednikami przy wymianie myśli i uczuć, oni są giełdą, która wytwarza kurs pewnych uczuć i myśli, oni myślą i uczuciem codziennie z nami obcują, zaglądają nam do dziennych zajęć, wpływają na nasze rozmyślania wieczorne, mają nawet niekiedy władzę nad naszymi snami. Więc ten ustawiczny towarzysz nasz ma być łgarzem, pijakiem, nicponiem, człowiekiem bez zdania, dla nas, tak wybrednych w wyborze najbliższego otoczenia?

Sam fakt, że się rzadko w podobny sposób zastanawiamy nad tem zagadnieniem, dowodzi, że tej kategoryi „wydziedziczonych“ i to wydziedziczonych nietylko z dostatków ziemskich, ale bardzo często z opinii, nie jesteśmy w stanie nieść jakiejkolwiek owocnej pomocy. Możemy urządzić jakiś koncert na rzecz inwalidów, możemy „otrzeć łzę“ wdowie lub sierocie po takim nieszczęśniku. Będzie to zacna filantropia, nic więcej; ale doli dziennikarzy i literatów nie poprawi, przeciwnie — pogorszy; gdyż filantropia nie zajmuje się ludźmi silnymi; więc zajmując się literatami i dziennikarzami, stwierdza, że są to ludzie słabi.

Więc sami literaci i dziennikarze powinni myśleć o sobie. To też myślą. Posiadają instytucyę „przezorności i pomocy.“ Ale co się rozumie przez te dwa wyrazy: „przezorność“ i „pomoc“?

Oto pytanie, które było przedmiotem żywej dyskusyi na ostatniem ogólnem zgromadzeniu. Wprawdzie wyrażono zdanie, aby literaci i dziennikarze roztrząsali swoje sprawy społeczne w własnem kole a nie przed publicznością, zauważyłem jednak, iż niektóre pisma, redagowane przez członków Kasy literackiej, odstąpiły od tej zasady, aby wpływać na opinię wedle swego widzenia rzeczy. To zniewala mnie również do wystąpienia publicznego. Zresztą rzecz sama posiada znaczenie, sięgające daleko po za obręb „interesu zawodowego.“ Poruszam sprawy obchodzące wszystkich, poruszam sprawy głęboko ludzkie.

Kierownicy naszej instytucyi, z woli naszej wybrani, cieszący się bezwzględnie naszym szacunkiem, działający bezwarunkowo w dobrej wierze, przez wyrazy „przezorność“ i „pomoc“ rozumieli dotąd zwyczajną filantropię. Zresztą i filantropia jest najłatwiajszą formą wszelkiej przezorności i pomocy. Najłatwiej da się w tym kierunku wyzyskać ustawę, najłatwiej zrobić coś natychmiast. Wyniki są bardzo konkretne, natychmiast sprawdzalne; łatwo też zainteresować ogół, łatwo przemówić do poczciwych serc warszawskich; nie krzyżuje to niczyich interesów, otacza inicyatorów miłym nimbem obywatelstwa, daje cenione jeszcze miano filantropa.

Ale, aby snuć taką pracę, nie potrzeba być dziennikarzem lub literatem. Na biednych da każdy. Najwięcej da ten, kto ich wyzyskuje. Ale chodzi o to, żeby biednych nie było.

Biednych nie powinno być z dwóch powodów. Najpierw dlatego, że wszelka bieda jest chorobą ekonomiczną, następnie dlatego, że wszelka bieda prowadzi do rozkładu charakteru. Tylko u ludzi wyjątkowych bieda hartuje charakter.

Ostatnimi czasy powstały w łonie naszej instytucyi dwa projekty. Jeden tyczył ubezpieczenia członków, drugi — organizacyi wydawnictw. Myśl pierwsza wyszła z kół kierowniczych, myśl druga — z opozycyi.

Koła kierownicze usiłowały wytłomaczyć członkom, że myśl ich jest zgodna z ustawą, a myśl opozycyi niezgodna z ustawą. Opozycya natomiast twierdzi, że obie myśli są zgodne z ustawą, tylko myśl pierwsza staje w obronie inwalidów, a myśl druga walczy o to, aby inwalidów nie było.

Myśl pierwsza, to owa odwieczna filantropia, to myśl o owej „ostatniej, czarnej godzinie.“ Myśl druga, to organizacya, mająca na celu, aby ta „ostatnia“ godzina „czarną“ nie była.

Rzecznicy pierwszej myśli wyciągają rękę do publiczności o pomoc. Rzecznicy myśli drugiej uważają to za rzecz niegodną. Okrzyku „sami sobie“ nie uważają za efektowny frazes, pod którym się kryje istota rzeczy w formie hasła „cudza pomoc.“

Ubezpieczmy się, ale sami; założmy kasę pogrzebową, ale z własnych środków. Bądźmy „przezorni“ względem tych, którzy zastawiają różne „pułapki na idealistów.“ Przez wyraz „pomoc“ chciejmy rozumieć pomoc nietylko w czasie wywożenia nas na Powązki, ale także w czasie żmudnej walki o byt codzienny.

Czysto filantropijne pojmowanie zadań Kasy ubliża literatom i dziennikarzom. Ale, dodajmy, ubliża także wydawcom i redaktorom.

Zali ma mi powiedzieć redaktor lub wydawca: człowieku! ty u mnie zostaniesz nędzarzem, niczego się nie dorobisz, umrzesz z niedostatku, nie będzie cię za co pochować, więc na gwałt ubezpieczaj się!?..

Azali ma mi powiedzieć redaktor lub wydawca: człowieku! nie organizuj spółki wydawniczej, ty na tem stracisz, ja ci przeszkadzać będę, ja spółkę twoją zrujnuję?!..

Azali wreszcie ma mi powiedzieć: widzisz, *ja*, wydawca, mogę pięćdziesiąt dwie książek dać rocznie *darmo* i to będzie złotym interesem; ale wyrachuję ci na palcach, że gdy *ty* dasz taką ilość książek publiczności *za pieniądze*, to zgubisz swą instytucyę, to znaczy, że ja ją zgubię??...

Zali koła kierownicze Kasy nie zdają sobie sprawy z tego, że podobne myśli mogą komuś przyjść do głowy? Że przychodzą? Że nastręczają się wciąż coraz liczniej?

Och, u nas myśli się zawsze o tych, którzy padli na dno nędzy; ale nikt nie wskaże, jak omijać otchłanie.

Literat musi wysługiwać się po biurach, bibliotekach, musi dawać lekcye, korepetycye; dziennikarz musi być niekiedy suflerem w jakiejś prowincyonalnej budzie teatralnej...

Laury im na głowy, to czoło narodu! A przytem łgarze? pijacy? oszuści? ludzie bez zdania?.. Eh!.. Ktoby tam na takie rzeczy zważał...

I pyszni się każdy finansista, że zawsze weksle płaci w terminie, klepie po ramieniu ubogiego dziennikarza, da coś na „otarcie łez“ wdowie...

I pyszni się każdy ziemianin, że jest tak honorowy, że jest tak dystyngowany i klepie po ramieniu literata, który „gęsią orze“...

I „wydziedzicza“ cały ów dumny, zamożny, honorowy, weksle płacący świat, „wydziedzicza“ literatów i dziennikarzy nietylko z dostatków ziemskich, ale z odpowiedzialności za swe postępki, z ambicyi...

Wydziedzicza go z charakteru — jego, stałego swego towarzysza, przewodnika, pomocnika, pośrednika, tego który snuje narodowej „myśli przędzę“ i hoduje narodowych „uczuć kwiaty“...

Potworna ironia!

Dźwignąć literatów i dziennikarzy z tego stanu, z tego poniżenia, uczynić z nich ludzi silnych, prawdziwie niezależnych, przemienić ich na jednostki, które się nie będą obawiały żadnej „czarnej godziny,“ które stawią czoło swym wyzyskiwaczom — oto najszczytniejsze zadanie instytucyi, która wzięła sobie za hasło „przezorność i pomoc.“

A dźwignąć literatów i dziennikarzy z tego stanu, to znaczy dźwignąć literaturę i dziennikarstwo z poniżenia, z niewoli, to znaczy rzeczywiście rozpętać Prometeuszom skrzydła a nie balsamować im tylko rany i krzepiące sole przykładać do nosa...

Zatem precz z burżuazyjną filantropią a natomiast wziąć się istotnie do „wzajemnej przezorności“ i „wzajemnej pomocy“, aby się w czyjej głowie nie wylęgła myśl, że i tam paraliżuje tak naturalne myśli wpływ tych, którym talenty są potrzebne, ale nie charaktery...

Wniosek komitetu Kasy upadł nie wskutek rzekomego „egoizmu“, jak chce jedno z pism codziennych, ale właśnie wskutek tego, że w literatach i dziennikarzach już się budzi to szczytne poczucie godności. A wniosek organizacyi wydawnictw nie powinien „upaść,“ jak tego pragnie to samo pismo, jeżeli to zbudzone poczucie godności i pragnienie niezależności będzie trwałe i będzie obejmowało coraz szersze kręgi „wydziedziczonych.“

Niepodobna oddzielić człowieka od literata i dziennikarza; pierwszy wpływa na drugiego i wybija na nim piętno. Dźwignąć tedy literata, dźwignąć dziennikarza, to znaczy dźwignąć człowieka.

A ponieważ ten literat i ten dziennikarz stoi w stałym stosunku do swej społeczności, więc to, co tu mówię, obchodzi — wszystkich!

Niech charakter w życiu literata i dziennikarza nie będzie jego przekleństwem, ale klejnotem, dźwignią prawdziwą, jedną z potężnych rękojmi jego działalności.

A dopomódz do tego może instytucya, której kierownicy staną istotnie na stanowisku „przezorności i pomocy“ „wydziedziczających.“

Zmienić trzeba tedy zasadniczo poglądy na wiele rzeczy; zmienić trzeba system filantropii na system organizacyi; trzeba w tym kierunku wyzyskać ustawę. Trzeba pamiętać, że istnieją dwa ogromne wypowiedzenia; jedno: „niechaj umarli grzebią swoje umarłe“; drugie: „trzeba z żywymi naprzód iść!“

Andrzej Niemojewski.

LITERATURA I SZTUKA.

Trylogia Pawła Adama.

Paweł Adam pisze już od jakichś piętnastu lat: wydał przez ten czas przeszło dwadzieścia tomów powieści, nie licząc artykułów publicystycznych i nowel, drukowanych w dziennikach, szczególniej w *Journalu*. Nie myślę się chełpić, żebym miał to wszystko przeczytać; z tych — bez przesady — tysięcy powieści francuskich, które ukazują się corocznie na półkach księgarskich, nawet człowiek, starający się śledzić za nowożytną literaturą tego narodu, może przejrzeć zaledwie drobną cząstkę. Czytałem „Bazylego i Zofię,“ ciekawe, uczone i barwne malowidło Byzancyum z końca IX w., z jego igrzyskami cyrkowemi, kłótniami sekt i intrygami pałacowo-haremowemi; czytałem też głośne przez krótką chwilę „Listy malajskie“— z całą pretensyonalnością, przez samą formę tytułu jako *pendant* do Monteskiusza „Listów perskich“ podane. Te mnie specyalnie zaciekawiły, jest to bowiem napół poważne, napół zartobliwe malowidło społeczeństwa komunistycznego, w przyszłości, na wyspach malajskich najpierw urzeczywistnić się mającego. Zabawną by miał robotę, ktoby tę fantazyę zechciał porównać z fantazyą Bellamy'ego; przedewszystkiem na różnicy między niemi mógłby studyować jaskrawą różnicę między dwiema sferami czytelników, w jednym i w drugim wypadku odwracających się od teraźniejszości: między moralną i moralizującą średnią warstwą angielsko-amerykańską — a dziećmi wielko-kapitalistycznego Babilonu, bulwarowcami i proletaryatem inteligentnym, których niechęć do teraźniejszości wyraża się w szyderstwie i negacyi! A prócz tego — jeśli Bebel pogardliwie nazwał utopię Bellamy'ego „wodą cukrzoną,“ to Fourier, Saint-Simon, Owen, Cabet, gdyby z grobu wstali, z pewnością — pluliby z obrzydzeniem na „wino pieprzowe.“ które pod ich firmą zgotował Paweł Adam w „Listach malajskich.“ Nie inaczej by się zapewne zachował i szlachetny J. J. Bachofen, chociaż bulwarowy utopista u steru rządów szczęśliwego i potężnego społeczeństwa przyszłości stawia— matronę i opisuje wspaniałe święta macierzyństwa i święta miłości, które znowu w ciekawy sposób można porównać z marzeniem bohaterki znanej powieści Czernyszewskiego... Krótko mówiąc, pan Paweł Adam główny nacisk kładzie na konieczną, zdaniem jego, w przyszłości nietylko prawną wolną miłość, ale obyczajową wspólność kobiet, wskutek czego — i tego jedynie — szanowni jego czytelnicy bulwarowi zazdroszczą z pewnością przeniesionemu do Malai paryżaninowi-dyplomacie.

Czytałem wreszcie często, podczas obowiązkowego przerzucania licznych dzienników, różne nowele naszego autora. Tematem ich — jak zresztą wszystkich autorów w takim *Journalu* — jest prawie wyłącznie miłość, dążeniem każdego z dostawców dziennika — wynaleźć jakiś „nowy dreszcz,“ któryby wywarł wrażenie na przesyconych czytelnikach i wyróżnił go z pomiędzy tłumu kolegów i współzawodników. Dziennik rozszerza dopiero tę truciznę w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy i zanieczyszcza wyobraźnie, począwszy od gimnazisty a kończąc na starcu. I muszę przyznać, że w tem „artystycznem współzawodnictwie“ Adam niewiele pozostał w tyle nawet za takim Janem Lorrainem a prawie dorównał zupełnie już pod tym względem obrzydliwemu Huysmansowi. Gdy się czyta erotyczne nowele w dziennikach paryskich, dreszcz rzeczywiście przejmuje— ale dreszcz niepokoju na myśl o tem, jak znieprawienie upodobań postąpiło niezmiernie w sferze czytelników, od jakiegoś pół, czy trzech ćwierci wieku. Zdarzyło mi się raz czytać jednego dnia „La pucelle de Belleville“ osławionego w swoim czasie „libertyna“ Pawła Kocha, a bezpośrednio potem, nazajutrz, „En route“ nawróconego na katolicyzm i ascetyzm Huysmansa. Miły Boże! Tam — ot, pogodne, wesołe żarciki na temat różnych części garderoby i niebezpieczeństw, grożących „kapitałowi“ dziewczyny, pomimo straży wychowawców; tu — ponure, „suggestywne“ (stereotypowy w tych sprawach termin pochwały i reklamy) wyrafinowanie. Zepsute było towarzystwo wyższe w końcu XVIII wieku; i cóż? skrajnym tego zepsucia wyrazem był — Parny. Ale gdzie kpiarzowi Parny'emu do uczestników (w wyobraźni) „czarnych mszy“ Huysmanowych lub haszyszowych posiedzeń Lorraina! A co najgorsza, to że dzięki Guttenbergowi i Girardinowi, zepsucie arystokracyi i warstwy średniej staje się dziś dostępnem — i dla ludu, zaraza moralna łatwo się rozpowszechnia...

Chociaż, jak powiedzieliśmy, i Paweł Adam uczestniczy w tym chwalebnym wyścigu „suggestywności,“ jednakowoż bezstronny krytyk przyznać musi, że go ożywia myśl głębsza. Wyobraźnia jego w znacznej części opanowana jest erotyzmem, ale w mężczyźnie i kobiecie nie widzi on jedynie narzędzi rozkoszy, lecz raczej przedstawicieli wielkich prądów dziejowych, wcielenia całych szeregów pokoleń, symbole ludów, stronnictw, ideałów, wskutek czego miłość i jej objawy zmysłowe nabierają jakiegoś znaczenia symbolicznego, zabarwienia mistycznego. I wogóle, pisarz ten szuka nieustannie „tajemnicy tłumów“ (tytuł jednej z jego powieści). Każdy z jego utworów ma za przedmiot jakąś wielką sprawę historyczno-społeczną, zagadnienie psychologii mas, która dopiero odbija się w psychologii pojedynczych bohaterów; autor przystępuje do rzeczy przeważnie z wielkim zasobem erudycyi. Nic dziwnego, że pisarza z takiemi upodobaniami pociągnęła rewolucyjna epopeja francuska. Jej poświęcił on wydaną przed kilku laty powieść *La Force* („Siła“), która jest najlepszem jego dziełem i wyrobiła mu dopiero imię powieściopisarza poważnego.

„Siła“ — jest to epopeja wojsk rewolucyjnych. Jak z ludności licznych prowincyj, mających odrębne życie i tradycye historyczne, wytworzył się w kuźni Rewolucyi jeden naród, jakim sposobem na naród ten rzuciły się ognie światoburczego ideału, jednem słowem — dziejów powstania i przebiegu Rewolucyi samej Adam nie przedstawia; on bierze naród ten dopiero w chwili, gdy, ujęty silną ręką Pierwszego Konsula, rozpiera swe granice terytoryalne i nieodpartym potokiem wylewa się na starą Europę. To idzie — Siła, siła zjednoczonego i wyzwolonego narodu francuskiego, siła nowego ideału, ale zarazem siła odradzających się dawnych pokoleń: w osobie Napoleona, jako wcielenia narodu francuskiego, rzuca się ponownie na „barbarzyńską“ Europę rzymianin Cezar, i rzymskiem oświecony światłem Karol Wielki. Idzie siła żywiołowa, wszystko przed sobą niszczy, toczy się niepowstrzymana coraz dalej, krwią obficie użyzniając glebę, zapładniając umysły zwyciężonych nowemi ideami, a jednocześnie—łona niewiast francuskiem życiem. Ale gdy potok ten tak huczy i buja, rozbijając koalicyę zewnętrzną, u jego źródeł tymczasem zbiera się już i umacnia związek roztropnych, którzy przemyśliwają nad tem, żeby go uregulować i skierować na swoją korzyść. Młody oficer dragonów, Bernard Héricourt, rzuca się w wir strasznych walk narodów na przestrzeni od Renu aż do Austerlitzu i Friedlandu, unoszony przedewszystkiem zapałem dla swych haseł, wiarą w posłannictwo odnowionej Francyi; do tych pobudek dołącza się jednak ogromna ambicya. Pod wpływem rzymskiego, klasycznego światopoglądu widzi żołnierz rewolucyi wzór swój w Cezarze i dosięgnąć chce jego wielkości, sądząc, że przez to nie przestanie służyć narodowi. Tymczasem rodzina jego, posiadająca wielkie młyny i majątki, ciągnie niezmierne korzyści z dostaw dla wojska, a jednocześnie od Bernarda domaga się dla rozszerzenia interesu pieniędzy z łupów i kontrybucyj, które on też o ile tylko posiada odpowiednią władzę, nakłada bezprawnie na zwyciężoną ludność, rozumując, że bogactwo to także „siła“ i że człowiek „z charakterem“ ma obowiązki i względem rodziny. I widzimy, jak armia Rewolucyi zmienia się stopniowo, ale szybko, na podobną do innych armię łupieżców i karyerowiczów, których reprezentuje młodszy brat Bernarda, Augustyn. Żołnierze śpiewają jeszcze pieśni rewolucyjne, oficerowie przeważnie pragną przedewszystkiem łupu i awansu. Napoleon prowadzi do zwycięztwa jednych przez urok idei, drugich—za pomocą nadziei korzyści; Bernard nienawidzi go z początku jako swego „rywala“, i to rywala, posługującego się nieuczciwymi środkami i dlatego szczęśliwego. Pod wpływem tej nienawiści Bernard ujmuje się wobec kolegów za jenerałem Moreau, wplątanym przez Napoleona w spisek Cadoudala i skazanym na wygnanie, lecz usunięty za to z wojska, w imię swych obowiązków rodzinnych upokarza się przed „rywalem“ i zyskuje przebaczenie. Szwagier jego, hrabia Praxi-Blassans, służy pod Talleyrandem w dyplomacyi; cała klika bogaczy i powracających arystokratów intryguje, żeby wykorzenić ostatnie ślady rewolucyi i po Napoleonie utorować drogę — królowi Burbonowi... Bernard ginie od kuli fortecznej pod Preszburgiem, ginie w służbie „rywala“, za nieuczciwego rywala, w chwili kiedy ten zdradza swe pochodzenie, swe posłannictwo, źródło swej siły — żeniąc się z córką Habsburgów po to tylko, aby, jako parweniusz, spokrewnić się z Burbonami...

Tu się kończy epopeja Siły, a zaczyna się epopeja Chytrości, której początki i przygotowania widzieliśmy już obok Siły.

(D. n.).

K. Radosławski.

Notatki literackie i artystyczne.

NAUKA. E. Abramowski: „Dusza i ciało.“ Prawo współrzędności psychologicznej, rozpatrywane ze stanowiska teoryi poznania i biologii. Wyd. *Przeglądu Filoz.* Skład w Księgarni Naukowej.

— W. Wundt: „Wstęp do filozofii,“ przeł. z niem. W. M. Kozłowski. Wyd. *Przegl. Filoz.* Skład w ks. Wendego,

— Jul. Mastelski: „Filozofia przyrody“ w zarysach Cz. IV. Skład u Wendego.

— A. Schopenhauer: „Psychologia miłości,“ tłom. A. L., wyd. 3. Nakład Borkowskiego.

— Z. Balicki: „Metody nauk społecznych i ich rozwój w XIX stuleciu.“ Nakład Wendego.

— Wł. Biegański: „Zasady logiki ogólnej.“ Nakład Kasy Mianowskiego.

— Szymon Askenazy: „Dwa stulecia“ — XVIII i XIX (wyd. drugie). Nakł. Gebethnera i Wolffa.

Tegoż: „Wczasy historyczne“ (wyd. drugie). Nakł. Gebethnera i Wolffa.

— Al. Kraushar: „Bars palestrant warszawski,“ jego misya polityczna we Francyi (1793—1800). Lwów. Nakład „Przewodnika handlowego i literackiego.“

— Maksymilian Baruch: „Pabianice, Rzgów i wsie okoliczne.“ Monografia historyczna dawnych dóbr kapituły krakowskiej w Sieradzkiem i Łęczyckiem. Wyd. Kasy Mianowskiego. Cene 2 rb. Skład u Wendego.

— H. Konic: „Dzieje prawa małżeńskiego w Królestwie Polskiem“ (1818—1836). Skład w Księgarni Naukowej.

— L. Krzywicki: „Stowarzyszenia spożywcze,“ ustęp z dziejów kooperacyi. Nakł. członków Stowarzyszenia spożywczego. Skład w ks. St. Dembego. Cena 1 rb. 50 kop.

— Dr. Jan Rozwadowski: „Parcelacya wielkiej własności w świetle postępowania pruskich instytucyj pośredniczących.“ Nakł. autora, skł. w ks. Wendego.

PUBLICYSTYKA: S. Posner: „Drogi samopomocy społecznej“ (szkice i wrażenia). Ks. J. Fiszera.

NA MARGINESIE.

—◆—

Gorączka trawowa stała się w Niemczech powodem związku, który członkom swoim, dotkniętym tem cierpieniem, wskazuje przez ogłoszenie w pismach publicznych świeżo odkryte sposoby ulżenia, a nawet zapobiegania tej chorobie. Objawia się ona głównie zapaleniem oczu, gwałtownym katarem i astmą. Występuje corocznie w czasie kwitnienia traw i zboża a ginie wraz z ich kwieciem. W następnym jednak roku powraca, i tak już nieprzerwanie do końca życia nawiedza corocznie każdego, kogo raz dotknęła. Kto wie, czy ta nowa choroba, jakoby odmiana influenzy, o której alarmujące wieści przesyłano nam z Krakowa, nie jest tą samą dobrze w świecie znaną gorączką trawową. Jako najlepszy przeciw niej środek podają wyjazd na czas kwitnienia traw na morze lub osiedlenie się w górach na takiej wyżynie, gdzie się kończy granica roślinności. Dobrze też oddziaływa pobyt na wyspie Helgoland, gdzie w tym czasie wieją ciągle wiatry północne i zachodnie, płynące od morza, a zatem wolne od pyłu kwietnego. Profesor Dunbar dał objaśnienie w Instytucie hygienicznym w Hamburgu co do przyczyny tej choroby; ma nią być mianowicie substancya białkowata, którą zawiera pyłek kwiatowy roślin trawiastych. Przeciwko tej truciznie, wnikającej do organizmu przez oddychanie, udało się profesorowi już nawet wynaleźć zabezpieczającą surowicę. Dr. Mohr-Mügeln wymyślił znowu przyrząd, który umieszczony w nosie, nie tamując oddechu, nie dopuszcza jednak pyłku kwiatowego do wnętrza i tym sposobem zapobiega chorobie. Te i wiele innych przepisów walczenia z dokuczliwą epidemią podaje związek do wiadomości ogółu, opierając wskazówki swoje na długo i starannie prowadzonych badaniach.

KRONIKA.

Wiadomości urzędowe. Departament celny zawiadomił okręg warszawski, że robotnicy i subjekci pracujący na statkach i tratwach a zaopatrzeni w bezterminowe książeczki paszportowe, mogą jeździć za tymi dowodami do Prus z ładunkiem drogą wodną i z powrotem. Interesowani winni jednak złożyć dowód, że istotnie należą do załogi statków lub tratew, a nadto przed wyjazdem uzyskać w książeczce paszportowej odpowiednie zaświadczenie inspektora spławu na Wiśle. Książeczki po ukończeniu ruchu spławnego mają być zwrócone do biura p. oberpolicmajstra w Warszawie.

— Dnia 24 kwietnia ogłoszone zostało prawo, dające generał-gubernatorowi finlandzkiemu „możność usuwania ze sfer pedagogicznych każdego, kto do świętej sprawy wychowania i wykształcania młodzieży wnosi propagandę polityczną.“ (*Gaz. Finl.*).

Wiadomości społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę „Drugiej zgierskiej kasy pogrzebowej.“

— Malarz niemiecki, Allers, współtowarzysz zabaw Kruppa na wyspie Capri, skazany został przez trybunał w Neapolu na 4 i pół roku więzienia i odszkodowanie rodzin, które skutkiem jego nieobyczajności ucierpiały.

— Statystyka ofiar, składanych na cele użyteczności publicznej przez obywateli Stanów Zjednoczonych wykazuje, że w r. 1901 wynosiły one 107,306,000 dolarów, w 1902 r. — 146,869,009 dolarów. Ażeby zapobiedz nieracyonalnemu rozporządzeniu ofiarami, oraz nadużyciom, utworzył się w Waszyngtonie związek z kapitałem 10 mil. dol., który ma się zająć tą sprawą.

Z Poznańskiego. Redaktor odpowiedzialny *Górnoślązaka*, p. A. Wicik, skazany został za obrazę ks. Schliwy, który z ambony zwalczał ostro jego pismo.

— Policya w Herne rozwiązała szereg zgromadzeń polskich, ponieważ mówcy używali języka polskiego. Polacy zwrócili się ze skargą aż do berlińskiego sądu wyższego, który rozstrzygnął sprawę na ich korzyść.

— *Kur. Poznański* donosi: „Podczas wizytacyi kościoła w Slesinie przez księdza biskupa Andrzejewicza z Gniezna, deszcz spłukał chorągiewki, koloru czerwonego i niebieskiego, zatknięte na murze przy kościele. Kolor czerwony się utrzymał, niebieska jednakże farba spłynęła i pozostało białe płótno. Policyant miejscowy natychmiast dał znać o tem do landrata, zjechało śledztwo i zabrano strzępek jednej chorągiewki na dowód, że winowajcą przy użyciu barw narodowych byli nieludzie, lecz deszcz-psotnik.“

— *Głos śląski* donosi, że na Górnym Śląsku pojawiła się odezwa, podpisana przez 28 księży, a wzywająca do gorącego moralnego i materyalnego poparcia germanizatorskiej *Gazety katolickiej*, w celu skuteczniejszego zwalczania ruchu narodowego. *Gazeta katolicka* przeniesiona została w tym celu z Królewskiej Huty do Katowic, a redakcyę objął p. Stephan z Berlina.

— Ks. Hohenlohe, właściciel wielkiej kopalni cynku i węgla na G. Śląsku, wydał rozporządzenie, ażeby studenci japońscy, którzy przybyli na Śląsk w celu zwiedzenia zakładów górniczych i poznania przemysłu, nie zostali wpuszczeni do wnętrza. Ks. H. zakaz ten umotywował obawą, ażeby Japończycy spostrzeżeń swych nie zastosowali następnie w swej ojczyźnie i nie wywołali tym sposobem konkurencyi Niemcom. Za przykładem ks. H. pójdą prawdopodobnie wszystkie zarządy kopalń na G. Śląsku. (*Gaz. Opolska*).

Szkoły i wychowanie. Ministeryum spraw wewnętrznych pozwoliło studentom, wydalonym czasowo z wyższych zakładów naukowych, na składanie próśb o odroczenie terminu wojskowego, jeżeli odpowiednia władza da o nich przychylną opinię.

— Wydane zostały nowe przepisy dla osób postronnych, ubiegających się o prawo prowadzenia robót budowlanych. Kandydaci egzaminowani będą, nie jak dotychczas, w komitecie budowlanym ministeryum spraw wewnętrznych, lecz w Instytucie inżenierów cywilnych w Petersburgu, a prócz tego obowiązani są złożyć świadectwo z trzyletniej praktyki przy budowach, kierowanych przez specyalistów z wyższem wykształceniem technicznem.

— Towarzystwo pracowników handlowych postanowiło założyć szkołę rzemieślniczo-handlową dla dzieci swych członków oraz osób postronnych. Kurs trzyletni podzielony będzie na trzy części: 1) szkoła przez cały okres; 2) praktyka dwuletnia; 3) kurs dopełniający teoretyczno-praktyczny, roczny. Wykładane będą: religia, języki polski, rosyjski, arytmetyka, geometrya, geografia, nauki przyrodnicze, rachunkowość i korespondencya handlowa, rysunki, modelowanie, fizyka, towaroznawstwo, technologia i prawo handlowe, przedmioty specyalne oraz praktyczne nauczanie rzemiosł. Po przebyciu trzech lat szkoły uczeń otrzymuje świadectwo z ukończenia 3 klas i komitet szkoły umieszcza go na praktyce u majstra cechowego. Praktyka, czyli termin, trwać będzie dwa lata i cały czas uczeń pozostaje pod kontrolą szkoły i uczęszcza na wykłady wieczorne. Po odbyciu praktyki uczeń zostaje czeladnikiem danego rzemiosła.

— Ministeryum oświaty zawiadomiło kuratora okręgu naukowego warszawskiego, że egzaminy kandydatów na nauczycieli rysunków i kaligrafii powinny się odbywać na zasadzie przepisów z r. 1846 o egzaminach specyalnych.

— W Pruszkowie ma być wkrótce otworzona szkoła praktyczna gospodarstwa domowego, z kursem jednorocznym, przeznaczona dla córek pracowników kolei Warszawsko - Wiedeńskiej. Wykładane będą: nauka praktyczna szycia, kroju bielizny i ubrań damskich, pranie, gotowanie, warzywnictwo, oraz dozorowanie dzieci w kolejowej ochronie miejscowej. Wiek kandydatek oznaczono na 14—18 lat; opłata za naukę wynosić ma około 2 rb., lub, dla biedniejszych, bezpłatnie.

— Władze szkolne w Nowym-Yorku postanowiły znieść naukę języka niemieckiego, z wyjątkiem klas wyższych.

Wiadomości naukowe. Podczas wystawy powszechnej w St. Louis odbędzie się „kongres wszechświatowy sztuk i nauk,“ w którego program wejdą: unormowanie wzajemnych stosunków różnych nauk, stwierdzenie postępów dokonanych w różnych dziedzinach nauki w ciągu XIX w., omówienie najważniejszych zagadnień itp. Wybitni uczeni wszystkich krajów będą proszeni o wygłoszenie odczytu na temat określony, otrzymają honoraryum i zwrot kosztów podróży. Obrady trwać będą od 19 września do 1 października, 1905 r. Na urządzenie kongresu i ogłoszenie drukiem wykładów zarząd wystawy przeznaczył 200,000 dolarów.

— W Poznaniu rozpoczął się d. 5 b. m. w sali pałacu Działyńskich kurs wykładów akademickich, które obejmują: 1) Wstęp do filozofii wraz z zarysem systematów filozoficznych nowszej epoki; 2) Podstawy filozofii idealistycznej; 3) Kwestya socyalna i nasze wobec niej zadanie; 4) Złoty wiek w literaturze polskiej; 5) Sylwetki nowoczesnych pisarzów polskich; 6) Odrodzenie włoskie w sztuce i jego wpływ na czasy najnowsze.

Ze sztuki. W Towarzystwie Zachęty otworzono wystawę portretów pędzla Ludomira Janowskiego.

— W Skien, mieście rodzinnem H. Ibsena, wzniesiono mu pomnik.

Literatura i prasa. *Kuryer Krakowski* przestał wychodzić.

— Minister spraw wewnętrznych zakazał sprzedaży pojedynczych numerów gazety *Znamia*.

— Według statystyki, podanej w *Ruskim Wiestniku*, w państwie rosyjskiem w roku zeszłym wychodziły 724 dzienniki i 595 czasopisma, z tych na Petersburg przypada 72 pisma oraz 274 dzienniki, na Moskwę 31 pism oraz 96 dzienników, na Warszawę 45 pism i 71 dzienników, na Rygę 24 i 19. W Azyi środkowej wychodzi 9 pism, dzienników zaś niema zupełnie; na Syberyi drukują 26 pism i 4 dzienniki. Co do języka 68% pism wychodzi po rosyjsku, 4% w języku rosyjskim oraz jednym z obcych i 28% w obcych językach; z dzienników 65% drukuje się w języku rosyjskim, 1% w dwóch językach — rosyjskim oraz w jednym z obcych i 34% w obcych językach. Ponieważ państwo liczy 137½ milionów ludności, to na 104,000 mieszkańców przypada jedno wydawnictwo. Stosunek ten nie jest we wszystkich częściach państwa jednakowy. W Finlandyi np. jeden egzemplarz przypada na 13,000 mieszkańców, w prowincyach baltyckich — na 27,000, w Królestwie Polskiem na 73,000, w gub. Cesarstwa — na 115,000, w Syberyi — na 165,000 mieszkańców, na Kaukazie — na 240,000 mieszkańców, w północnych prowincyach Azyi — na 414,000, wreszcie w Azyi środkowej na 1 egzemplarz przypada 888,000 mieszkańców; 407 pism oraz 471 dzienników wychodzi w języku rosyjskim, w języku finlandzkim 48 pism oraz 83 dzienniki, w języku polskim 36 pism oraz 65 dzienników, w języku szwedzkim 19 pism i 47 dzienników, w niemieckim 35 pism oraz 21 dzienników, w łotewskim 10 pism i 6 dzienników, w estońskim 10 pism i 3 dzienniki, w ormiańskim 3—5, we francuskim 1—6, w gruzińskim 3—3, w hebrajskim 3 pisma i w angielskim — jedno. Pięć pism wychodzi w języku rosyjskim i polskim, pięć — w rosyjskim i niemieckim, jedno pismo i 4 dzienniki w rosyjskim i francuskim, wreszcie jedno pismo w rosyjskim i łotewskim.

Sprawy ekonomiczne. W *Gazecie Polskiej* czytamy: Komitet wystawy ogrodniczej ogólnej, zamierzonej na r. 1905 opracował program tematów do nagród w dziale naukowym przyszłej wystawy. Tematy te są następujące: 1) Anatomia i fizyologia roślin w treściwej formie, w zastosowaniu do ogrodnictwa z objaśnieniami i rysunkami; 2) zastosowanie nawozów sztucznych w ogrodnictwie; streszczone popularnie, oparte w pierwszej przynajmniej części na doświadczeniach własnych; 3) krytyczna ocena odmian owocowych handlowych z uwzględnieniem warunków klimatycznych i gleby Królestwa; 4) hodowla warzyw w budynkach i w skrzyniach ogrzewanych; 5) statystyka produkc

ogrodniczej pod Warszawą; 6) hodowla ważniejszych nasion warzywnych; 7) hodowla róż i zastosowanie ich w ogrodzie; 8) 20 roślin pokojowych z opisem i wskazówkami dotyczącemi hodowli; 9) zasady estetyki w ogrodnictwie; 10) budownictwo ogrodnicze w zastosowaniu do potrzeb wiejskich (altany, tarasy, mostki, bramy itp.—w opisach i rysunkach); 11) walka ze szkodnikami roślinnymi w ogrodzie, w formie popularnej; 12) podręcznik do zakładania kwietników, z objaśnieniami i rysunkami; 13) hodowla roślin szklarnianych.

— Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa przystępuje do otworzenia w roku bieżącym siedmiu stacyj meteorologicznych, przeznaczonych wyłącznie do celów rolniczych. Jedna z nich powstanie w gub. Siedleckiej.

— Odeski komitet hodowli winogron i wyrobu win postanowił starać się o urządzanie corocznych wystaw swego produktu w większych miastach państwa.

— Zjazd gorzelników kraju Północno-Zachodniego postanowił założyć Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń gorzelni w gub. Mińskiej, Wileńskiej, Grodzieńskiej, Mohylowskiej i Witebskiej.

Zdrowie publiczne. Według sprawozdania sekretarza stanu do spraw indyjskich, w Pendżabie od 1 lutego do 2 maja było 141,789 wypadków śmierci na dżumę.

— Z St. Jago donoszą, że w Ikwibu kilka osób zmarło na dżumę.

Katastrofy. W pobliżu miejscowości Dembno, w Poznańskiem, przeprawiało się przez Wartę czterdzieści przeszło dzieci 13—14-letnich, które powracały do domu z nauki religii katolickiej. Łódź popsuta zaczęła na środku rzeki nabierać wody, skutkiem czego wśród dzieci powstał popłoch, zbiegły na jedną stronę i tak przechyliły łódź, że wszystkie wpadły do wody; jedenaścioro wraz z przewoźnikiem utonęło.

— Miasto Norman i Faifield w Ameryce zostały zburzone przez cyklon.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu B. B. Tym razem nie pomieścimy.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 23 Мая 1903 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.